

Wszystkich Świętych



Jak co roku w Dniu Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny Polacy odwiedzają groby swych najbliższych, a także bohaterów narodowych, by w zadumie modlitwnej oddać im należną cześć. Zdjęcie z cmentarza powązkowskiego w Warszawie. (fot. archiwum)

1 listopada udamy się na groby naszych najbliższych, przyjaciół i znajomych, by w powadze, ale zarazem zadumie nad przemijającym życiem, wyrazić naszą pamięć o tych, którzy odeszli. Odwiedzimy też groby naszych bohaterów narodowych, tych znanych i tych skrytobójczo zamordowanych przez wrogów: zbrodniarzy niemieckich, komunistycznych, czasami banderowskich. Złożymy wiązanek kwiatów, może wieniec, zapalimy lampki. Od ich blasku polskie cmentarze rozbłysną łunami, potęgującymi wrażenie obchodów Dnia Wszystkich Świętych.

Jednakże ten dzień znaczy dla każdego Polaka i katolika coś więcej, niż tylko zewnętrzne symbole. To przede wszystkim

głęboka zaduma modlitwna, odmówienie „Zdrowaś Maryjo” czy „Wieczny odpoczynek” tudzież innych modlitw za dusze w czyśćcu. To refleksja nad ulotnością naszego ziemskiego życia, tej czasowej wędrówki, po której złączymy się kiedyś z tymi, którzy odeszli przed nami.

W dzisiejszym, mocno zlaicyzowanym świecie zatarła się różnica między Dniem Wszystkich Świętych a Dniem Zaduszny, który następuje po tym pierwszym. Dzień Wszystkich Świętych jest w Polsce świętem zarówno kościelnym, jak i państwowym. Ustanowił je od około IV wieku zwyczaj oddawania czci wszystkim męczennikom chrześcijańskim, zaś jako oficjalne święto

Ciąg dalszy na stronie 2

W podwójnym numerze m.in.:

Strony 1, 2 i 8

Wszystkich Świętych

Strony 3, 4, 5 i 6

Sędziowska mądrość etapu

Strony 3, 4, 5 i 6

Mit dobrego sąsiedztwa

Strony 6 i 7

Rzut na taśmy

Strony 9, 13, 23 i 24

Dei providentia, populi constantia, Polonia restituta... W setną rocznicę Niepodległości Polski

Strony 10, 11, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20 i 21

Nasz drogi wódz

Strony 9 i 20

Paradoksów nie wypłenisz, ale po co je nagłaśniać?

Strony 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31 i 32

„A gdzie mój legionista?”

Strony 32 i 33

Dodatek do artykułu „A gdzie mój legionista?”

Strony 34, 35 i 36

Wspomnienia rodzinne z Żydami w tle

Strona 36

Seks

kościelne pod nazwą Świętych Męczenników dzień ten został ogłoszony w roku 610 przez papieża Bonifacego IV. Był on początkowo obchodzony w dniu 13 maja. Dopiero papież Grzegorz postanowił w roku 731, że od tego roku święto to będzie obejmowało nie tylko męczenników za wiarę, lecz także wszystkich świętych Kościoła oraz że będzie ono obchodzone w dniu 1 listopada. Jest więc ono poświęcone świętem Kościoła, zaś wierni mają obowiązek uczestniczyć w tym dniu w mszy świętej jak w każdą niedzielę.

W odróżnieniu od Dnia Wszystkich Świętych Dzień Zaduszny (w skrócie zwany Zaduszkami), obchodzony 2 listopada jest dniem pamięci o wszystkich zmarłych. Obchody tego dnia datują się na rok 998, kiedy to opat z Cluny święty Odilon wprowadził go do kalendarza kościelnego jako przeciwwagę dla wielu pogańskich obrządków, w których oddawano cześć zmarłym. W Kościele Katolickim Dzień Zaduszny na dobre zagościł w kalendarzu liturgicznym w XII wieku. Przez wiele wieków był on również oficjalnym dniem świątecznym, tak jak poprzedzający go Dzień Wszystkich Świętych.

Polska, jako kraj zachodniej kultury chrześcijańskiej od samego początku swojej państwowości wprowadził do swojej tradycji oba te święta. Stąd obowiązywały dwa dni świąteczne, w czasie których modlono się do świętych oraz za dusze wszystkich zmarłych. W takim kształcie obchody zarówno 1 jak i 2 listopada przetrwały aż do czasów PRL-u, z tym jednak, że władze komunistyczne ograniczyły je do jednego dnia—1 listopada, wprowadzając w miejsce nazwy Wszystkich Świętych ateistyczne określenie Dzień Zmarłych. Zaduszki stały się zwykłym dniem.

W świecie zachodnim oba dni świąteczne istniały aż do rewolty francuskiej, zwanej eufemistycznie Wielką Rewolucją Francuską czyli do końcowych lat XVIII wieku. Jako takie przeniknęły również do kościołów



Katyn—masowe groby pomordowanych przez NKWD polskich oficerów, stan z 1989 roku (fot. własna PSF)

protestanckich czy kościoła anglikańskiego. Laicko-ateistyczne prądy doby oświecenia i coraz większe wpływy masonerii w XIX wieku spowodowały wpierw zeświecczenie Dnia Zmarłych czyli Zaduszek, a z czasem ich likwidację. Podobnie rugowano sam Dzień Wszystkich Świętych, starając się zastąpić go pogańsko-satanistyczną namiastką Halloween, obchodzoną dzisiaj w dniu 31 października. Tendencja ta dominowała przez wiele lat w kręgach kultury anglosaskiej, a zwłaszcza w Ameryce Północnej (USA i Kanada). Jednakże Kościół Katolicki w krajach tego kręgu kultury do dzisiaj wyróżnia Dzień Wszystkich Świętych (All Saints Day) i Dzień Zaduszny (All Souls Day).

Laicyzacji obu świąt w Polsce sprzyjała nie tylko antyreligijna propaganda władz komunistycznych doby PRL-u. W III RP wciąż utrzymuje się niezwykle silny nacisk kręgów lewacko-masońskich na ateizację życia publicznego. Dzień Zaduszny 2 listopada jest—identycznie jak w PRL—zwykłym dniem powszechnym, co powoduje, że jedynie dzień 1 listopada jest praktycznie jedynym dniem, w którym Polacy masowo odwiedzają cmentarze i w którym uczestnictwo we mszy świętej jest

obowiązkowe na prawach niedzieli. Jedynie starsze pokolenie pamięta o zmarłych w następnym dniu, zgodnie z tradycją katolicką.

W epoce III RP nachalna propaganda lewacka starała się zaciekle wprowadzać obcy nam kulturowo, a zwłaszcza religijnie zwyczaj Halloween, zapożyczony z zachodnich kręgów pogańskich obchodów celtyckich w czasach przedchrześcijańskich. Jest to sprzeczne z polską tradycją i wartościami katolickimi i tak jest traktowane przez Polaków.



Cmentarz Orłąt Lwowskich (fot. archiwum)

Według Wikipedii inteligencja to *"zdolność do postrzegania, analizy i adaptacji do zmian otoczenia"*. Nie ulega wątpliwości, że sędziowie są ludźmi inteligentnymi. Szczególnie sędziowie najwybitniejsi. Sędziowie z Koszalina. Sędziowie Sądu Najwyższego.

Posada sędziego SN to ukoronowanie kariery w zawodach prawniczych, dlatego aby dostać się na sam szczyt trzeba wyjątkowych zdolności i wiedzy (nie mówiąc o nieskazitelnej postawie moralnej). Jak to się stało, że aż czterech sędziów z Koszalina (miasta dość średniego) zasłużyło sobie na taki awans? Czyżby bogate w jod morskie powietrze sprzyjało rozwojowi talentów prawniczych?

Przyczyna jest bardziej prozaiczna – to stan wojenny umożliwił koszalińskim sędziom ujawnienie w pełni swoich zdolności. Sędziowie Szerszenowicz, Rychlicki i Godyń to oficerowie, którzy awansowali z Sądów Garnizonowych do Izby Wojskowej Sądu Najwyższego, a niewątpliwym wpływ na ich karierę miały taśmowo wydawane wyroki w trybie doraźnym ("z dekretu"). Jedyne cywil w tym towarzystwie – Waldemar Płóciennik – jako sędzia Sądu Najwyższego zasłużył się dla "nadzwyczajnej kasty" niebywale. To on był autorem kuriozalnej ustawy SN z dnia 20 grudnia 2007 roku, która miała na celu ustalenie odpowiedzialności sędziów wydających wyroki za strajki w dniach 13 – 16 grudnia 1981 roku – przed opublikowaniem w dzienniku ustaw dekretu o stanie wojennym (17 XII), a więc za czyny nie podlegające karze (prawo nie działa wstecz). Według sędziego Płóciennika (i Sądu Najwyższego), sędziowie byli zobowiązani stosować prawo na podstawie wiadomości z telewizji i plakatów obwieszczających wprowadzenie stanu wojennego! Podejmowane próby odsunięcia od orzekania czy pociągnięcia do

odpowiedzialności sędziów skompromitowanych w stanie wojennym skończyły się fiaskiem. Pion prokuratorski IPN prowadził kilkaset spraw przeciw prokuratorom i sędziom wydającym wyroki sprzeczne z prawem w momencie ich wydawania. W obronie tych szemranych sędziów stanął Sąd Najwyższy pod przewodnictwem nieocenionego sędziego Płóciennika. Choć art. 4 ustawy o IPN wyraźnie stanowi, że zbrodnie komunistyczne przedawniają się po 40 latach, 25 maja 2010 roku podjęto uchwałę o przedawnianiu zbrodni sądowych według kodeksu karnego (po 15 latach). Prokuratura IPN musiała wszystkie prowadzone sprawy umorzyć, gdyż okazało się, że przestępstwa sądowe są już przedawnione. Tak więc w praworządnym (?) kraju Sąd Najwyższy wcielił się w ustawodawcę i zmienił prawo...

Gdyby miłujący demokrację postkomuniści odzyskali władzę, wdzięczna kasta sędziowska mogła by wystawić użytecznemu sędziemu Płóciennikowi jakiś pomniczek. W Koszalinie wciąż jest niezłe miejsce po usuniętym przez pisiorów i solidaruchów pomniku "utrwalaczy władzy ludowej"...

Niemniej zdolni byli wojskowi koledzy sędziego Płóciennika. W stanie wojennym por. Bogdan Rychlicki i kpt. Bogdan Szerszenowicz mieli pełne ręce roboty orzekając w sądzie Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy na sesjach wyjazdowych w Koszalinie i Słupsku (prowadzono 327 sprawy polityczne w stosunku do 493 osób.) W Gdańsku i Szczecinie takich spraw było wielokrotnie więcej, ale i tak było to zbyt dużo nawet na możliwości "rozgrzanych" koszalińskich sędziów wojskowych. Trzeba było posiłkować się sądami cywilnymi. Sprawy były dość banalne – "rozpowszechnianie frańszywych treści", przewożenie ulotek, pisanie haseł "godzących w sojusz" itp. Wyroki oscylowały w przedziale od roku

do 4 lat pozbawienia wolności.

Trzeba docenić piękny literacki styl kpt. Szerszenowicza w uzasadnieniu wyroku 3 lat i 6 miesięcy dla Piotra Pawłowskiego z Kołobrzegu: *„Szczególnie jątrząca i ostra w swej wymowie treść przewożonych przez oskarżonego pism, ich znaczna liczba, a przez to szeroki krąg potencjalnych adresatów, w okresie nasilonej eskalacji rozruchów i napięć społecznych przeciwdziałających normalizacji sytuacji społeczno – politycznej w kraju nakazuje ocenić stopień społecznego niebezpieczeństwa tego czynu jako szczególnie wysoki.”*

Kolega kapitana – por. Bogdan Rychlicki również miał okazję błysnąć talentami. Np. gdy prowadził sprawę Ryszarda Szpryngwalda, który będąc na kuracji w Kołobrzegu wręczył ulotkę patrolowi wojskowemu (żołnierze nie czytając treści aresztowali straceńca).

Sędzia wskazywał na *"szczególnie wysokie społeczne niebezpieczeństwo czynu, gdyż oskarżony podjął próbę działań wymierzonych wprost w dyscyplinę i jedność polityczną Wojska i osłabiał gotowość obronną Państwa Polskiego"*.

Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy na sesji wyjazdowej w Koszalinie, pod przewodnictwem sędziego porucznika Bogdana Rychlickiego, uznał kuracjusza za winnego i skazał go za to na karę 3 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności oraz karę dodatkową pozbawienia praw publicznych na okres 3 lat. Gdy nastała III RP sędziowie ci, już jako pułkownicy orzekający w Izbie Wojskowej Sądu Najwyższego przeszli zdumiewającą przemianę – teraz w rewizjach nadzwyczajnych masowo uniewinniali oskarżonych, których

skazywali kilka lat wcześniej. I na tym polega sędziowska mądrość etapu.

Ową oprzemięnię tak skomentował adwokat Edward Stępień z Kołobrzegu:

"Muszę przyznać, że nie jest wcale zabawne, gdy czytam uzasadnienie wyroku wydanego przez pana sędziego Sądu POW w Bydgoszczy porucznika Bogdana Rychlickiego w sprawie Ryszarda Szpryngwolda oraz wprost odwrotne poglądy pana sędziego Izby Wojskowej Sądu Najwyższego pułkownika Bogdana Rychlickiego w sprawach rehabilitacyjnych kilka lat później"

Bogdana Rychlińskiego przemianę "Szawła w Pawła" wzmocniło umieszczenie dodatkowego imienia. Odtąd sędzia nazywa się Jan Bogdan Rychlicki.

Użyteczny sędzia dwojga imion został wykorzystany do sprawy istotnej dla działających w Polsce środowisk agenturalnych. Agent Tomasz Turowski został oskarżony o kłamstwo lustracyjne, bo zataił fakt pracy w komunistycznym wywiadzie. Turowski (jeśli to jego prawdziwe nazwisko) jako fałszywy jezuita rezydował w Rzymie "chroniąc Jana Pawła II" (jak sam utrzymywał) i był obecny podczas zamachu na papieża. Minister Sikorski na wiosnę 2010 roku zatrudnił go jako fachowca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i za dwa dni w jego troskliwe ręce powierzył organizację podróży prezydenta Kaczyńskiego do Katynia. Turowski zadanie wykonał, choć "zapomniał" (czy może wiedział, że nie będzie to potrzebne) zorganizować kolumnę samochodów i autokar do transportu gości ze smoleńskiego lotniska do Katynia.

W sprawie dotyczącej tak ważnej postaci potrzebni byli doświadczeni sędziowie. Sąd Najwyższy w składzie (Jan) Bogdan Rychlicki, Piotr Hofmański i Michał Laskowski

(ostatnio aktywny medialnie) uznał, że Tomasz Turowski nie jest kłamcą lustracyjnym, bo zatajając swoją agenturalną przeszłość działał "w stanie wyższej konieczności".

"Lżył, poniżał i wyszydzał Naród Polski"

Miałem zaszczyt być oprawianym przez kapitana Bogdana Szerszenowicza – późniejszego sędziego Sądu Najwyższego. Moja sprawa została zrelacjonowana w lokalnej gazecie w notatce pt. "Niebezpieczne archiwum":

"Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy na sesji wyjazdowej w Koszalinie ogłosił wczoraj wyrok w sprawie Jana Martiniego (lat 38), znanego koszalińskiego pianisty zatrudnionego w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym.

I maja br. J. Martini został zatrzymany w swoim mieszkaniu podczas przepisywania na maszynie biuletynów, apeli, odezw, wydanych pod firmą różnych ogniw NSZZ "Solidarność". Zakwestionowane materiały zajmowały w aktach sprawy dziewięćdziesiąt kilka stron.

J. Martini, który w Zarządzie Regionu "Pobrzeże" NSZZ "Solidarność" pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Kultury i Informacji, oskarżony został o przechowywanie i sporządzanie w celu rozpowszechnienia treści szkalujących naród polski, ustrój i naczelne organy PRL jak również treści zawierających fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny lub rozruchy, a także osłabiające gotowość obronną kraju. Oskarżony stwierdził na rozprawie, że zakwestionowane materiały gromadził w swoim domowym archiwum dla celów historycznych (...)

Miałem zastrzeżenia co do niezawisłości sędziów – wojskowych, gdyż każdy

żołnierz ma swojego przełożonego, który może wydać rozkaz sędziemu „ukarać surowo, dla przykładu”. Dlatego napisałem podanie o przeniesienie mojej sprawy do sądu cywilnego. Argumentowałem, że nie jestem szpiegiem lub dezterem. Przytoczyłem nawet opinię marszałka Montgomerya, który też był krytyczny wobec wojskowego wymiaru sprawiedliwości („sprawiedliwość wojskowa ma się tak do sprawiedliwości, jak muzyka wojskowa do muzyki”), ale nie uwzględniono mojej prośby.

Skład orzekający z sędzią Szerszenowiczem „skazał Jana Martiniego na karę 3 lat pozbawienia wolności oraz na karę dodatkową pozbawienia praw publicznych na okres 2 lat, opłatę na rzecz Skarbu Państwa w wysokości 4.200 zł., przepadek na rzecz Skarbu Państwa maszyny do pisania marki "Łucznik", a także dowodów rzeczowych w postaci różnego rodzaju wydawnictw, druków i maszynopisów. Sąd wymierzając wyrok wziął pod uwagę m. in. bardzo dobrą opinię oskarżonego z miejsca pracy, jego zaangażowanie w pracy społecznej datujące się jeszcze sprzed sierpnia 1980 r. Zwłaszcza na niwie artystycznej. Wyrok jest już prawomocny”.

Wyrok otrzymałem dość umiarkowany, ponieważ nie udowodniono mi „rozpowszechniania” ani redagowania naszej podziemnej gazetki Regionu „Pobrzeże” NSZZ „Solidarność” pt. „Gazeta Wojenna – Grudzień 81”. I pomyśleć, że parę lat później aferzysta Dariusz Przywieczerski za zdefraudowanie 158 mln dolarów dostał wyrok niższy o pół roku...

Już w III RP, po Rewizji Nadzwyczajnej Naczelnego Prokuratora Wojskowego "Sąd Najwyższy - Izba Wojskowa w Warszawie uniewinnił Jana Martiniego od przypisanego mu przestępstwa,

kosztami postępowania odwoławczego obciążył Skarb Państwa"

Ale maszyny do pisania marki „Łucznicz” już mi nie oddali...

Sędzia najzdolniejszy

Trzej koledzy z prowincjonalnego Sądu Wojskowego w Koszalinie spotkali się po latach w Sądzie Najwyższym. Sędzia Janusz Godyń wyraźnie szybciej awansował – dość szybko został przeniesiony do Katowic, a później do Warszawy. W 1990 został prezesem Izby Wojskowej Sądu Najwyższego i funkcję tę pełnił 26 lat do 2016 roku. Na tym stanowisku był dwukrotnie awansowany przez kolejnych prezydentów RP: W 1993 Lech Wałęsa wręczył mu nominację na generała brygady, a później Aleksander Kwaśniewski na generała dywizji. W 2017 roku Krajowa Rada Sądownictwa odznaczyła generała medalem "Zasłużony dla Wymiaru Sprawiedliwości Bene Merentibus Iustitiae" za to, że "wyróżniał się pracą orzeczniczą i pozaorzeczniczą". Wiele wskazuje na to, że awanse sędziego Godynia wynikają z jego pracy "pozaorzeczniczej". Sędzia nie ukrywał w oświadczeniach lustracyjnych swojej pracy dla "organów bezpieczeństwa PRL", a Polska (w przeciwieństwie do innych byłych "demokracji ludowych") jest krajem w którym posiadanie w życiorysie faktu współpracy z „organami” nie hańbi, lecz ułatwia karierę i nobilituje towarzysko. Prezydencki projekt reformy sądownictwa przewidział likwidację Izby Wojskowej Sądu Najwyższego. Czujna "Rzeczpospolita" w artykule pt. "Projekt reformy likwiduje izbę wojskową SN" alarmuje, że chodzi tu o dekomunizację, a więc działanie naganne, godzące w prawa człowieka ("przyjęto rozwiązanie zdaniem ekspertów łamiące konstytucję, tzn. przymusowe wysłanie ich w stan spoczynku.").

Na temat projektu wypowiedziały się też autorytety – Małgorzata Gersdorf:

"automatyczne przeniesienie w stan spoczynku sędziów Izby Wojskowej jest sprzeczne z konstytucją – a także to marnotrawstwo doświadczenia i wiedzy osób pełniących najwyższy urząd sędziowski w Polsce."

Zaś niezawodny prof. Strzembosz wykrył faszyzm:

"Likwidacja Izby Wojskowej z równoczesną „likwidacją” sędziów jest bezprawna. Oni są wybrani do ukończenia 70 lat, a ich przeniesienie w stan spoczynku nie zostało w żaden sposób uzasadnione. Jarosław Kaczyński pomawia Sąd Najwyższy, że są w nim jacyś sędziowie zaplątani w brzydkie sprawy w czasie stanu wojennego. Nie rozumiem, dlaczego sędziów z Izby Wojskowej uważa się zbiorowo za ludzi o splamionych rękach. (...) Obecnie mamy do czynienia z typem ustawy faszystowskiej. Faszyzm tym się charakteryzował, że pociągał ludzi do odpowiedzialności zbiorowej. Potraktowanie wszystkich sędziów Izby Wojskowej jako naznaczonych negatywnie jest zatem postępowaniem faszystowskim".

Profesor Adam Strzembosz – pierwszy prezes Sądu Najwyższego w latach 1990 – 1998 – przejdzie do historii jako autor słów "sądownictwo oczyści się samo" (broń Boże nie ruszać !). Pytany przez Ewę Stankiewicz na okoliczność "oczyszczenia" profesor wypalił zniecierpliwiony: *"Kto miał wtedy oczyszczać sądownictwo ? Dyrektor departamentu kadr który był oficerem bezpieczeństwa, czy trzech wiceministrów z PZPR".*

Czyżby jakaś forma "oczyszczania" jednak miała miejsce ?

Internet taktownie milczy na temat okoliczności opuszczenia Sądu Najwyższego przez pułkownika

Szerszenowicza. Być może przyczyną była gafa, jaka przydarzyła się sędziemu, który prowadząc sprawę rehabilitacyjną prof. Szaniawskiego w 1996 roku, z przyzwyczajenia wydał wyrok w "imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej"...

Sędzia Strzembosz jest posiadaczem wspaniałego życiorysu z tzw. "piękną kartą opozycyjną" (członek władz "Solidarności", usunięty z pracy w Sądzie Wojewódzkim podczas stanu wojennego, uczestnik okrągłego stołu, przewodniczący komisji prawa przy Komitecie Obywatelskim Lecha Wałęsy). Prezydent Kaczyński nadał mu Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi dla Rzeczypospolitej Polskiej, a w szczególności dla przemian demokratycznych w Polsce, za działalność państwową i publiczną”.

Jednak w 2015 roku coś dziwnego porobiło się z sędzią Strzemboszem (zresztą nie tylko z nim) – stał się nieprzejednanym wrogiem „dobrej zmiany”. Najprostsze i zarazem najbardziej racjonalne wytłumaczenie jest takie, że profesora Strzembosza skusił diabeł. Równocześnie na głowę sędziego posypał się deszcz nagród i odznaczeń:

2016 – Honorowy Obywatel miasta stołecznego Warszawy

2017 – tytuł „Prawnik roku”

2017 - Nagroda im. Pawła Włodkowica

2017 – Medal św. Jerzego

2017 – Nagroda im. prof. Zbigniewa Hołdy

Jerzy Targalski w swojej fundamentalnej pracy *"Służby specjalne i pieriestrojka"* (podtytuł: *"Rola służb specjalnych i ich agentur w demontażu komunizmu w Europie Środkowej"*)

Rzut na taśmy

Powoli kończy się zgiełk zwany kampanią wyborczą do samorządów. Za kilka dni utną się wzajemne napaści, oskarżenia, potwarze a nawet zwykłe chamstwo, obficie spływające z ekranów. Ostatnie dni upływają pod znakiem „rzutu na taśmy” czyli nagle, ni stąd ni zowąd pojawiające się jakieś nowe nagrania rozmów z „Sowy i Przyjaciół”. Dobrze wydaje się być wszystko, czym można obryzgać przeciwnika.

Przeciętny Kowalski ma już powyżej dziurek w nosie niezliczonych wypowiedzi, konwencji i innych występów pod publiczność. Wszystkie prześcigają się w obietnicach, po większości których nie zostanie nawet ślad, kiedy tylko opadnie tumult przedwyborczy. Przy wszystkich poszczególni kandydaci i ich partie powtarzają te same zdania, różniące się tylko położeniem geograficznym, w jakim są wygłaszane. Oczywiście, jakaś tam ich część może i doczeka się realizacji, ale właściwszym byłby fakt, że realizacja jest rzeczywistą, codzienną pracą samorządowców, a nie jakimś świętem z okazji nadchodzących wyborów.

Potencjalni wyborcy (wielu z nich nawet nie wybiera się na głosowanie) wzdychają nie tyle do samego dnia wyborów, co do tzw. ciszy wyborczej, wolnej od kampanijnego jazgotu i obrzucania błotem jednych przez drugich. Krótka to będzie radość, bo przecież dalszy scenariusz można sobie wyobrazić. Najpierw będą protesty wyborcze, wrzask na temat naruszeń jakichś praw. No i przecież będzie jeszcze druga tura, tym razem na prezydentów i burmistrzów. Całość ma się zakończyć po 4 listopada. Ale czy tak będzie ?

Sędziowska mądrość etapu

(dokończenie)

ukazał mechanizmy, które zastosowali twórcy „naukowego socjalizmu” aby naukowo i metodycznie przygotować się do „upadku komuny”. Rzeczą podstawową było wytworzenie i uwiarygodnienie kadr przewidzianych do objęcia kluczowych stanowisk w przyszłej „demokracji”.

Wyznawca spiskowej teorii dziejów, po przeczytaniu książki Targalskiego może zastanawiać się, kim są posiadacze spiżowych życiorysów w rodzaju Strzembosza, Milczanowskiego, Frasyniuka, czy Schetyny.

Będąc człowiekiem rozumnym i racjonalnym, pozostają jednak przy hipotezie diabła, który kusi zawsze, wszędzie i każdego.

Kasta trzyma się mocno

Na początku lat 90 – tych Sejm uchwalił 2 ustawy, które zostały zablokowane przez Trybunał Konstytucyjny i Aleksandra Kwaśniewskiego. Po dojściu do władzy AWS, w 1998 roku uchwalono ustawę o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy w latach 1945 – 1989 "sprzeniewierzyli się niezawisłości sędziowskiej". Do Sądu Najwyższego wpłynęło 30 spraw, które w większości były od razu umarzane. Wdrożono tylko 2 sprawy zakończone uniewinnieniem. Żaden zbrodniarz sądowy nie został ukarany, ponieważ "wydawane wyroki zgodne były z ówczesnie obowiązującym prawem", a sędziowie mieli "immunitet sędziowski"(!).

W 1992 roku sejm wydał uchwałę w sprawie urzędników państwowych od szczebla wojewody wzwyż będących współpracownikami UB i SB w latach 1945 – 1990, lecz Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem użytecznego prof. Zolla uznał ją za sprzeczną z konstytucją i „odrzucił w całości”. Zszokowany werdyktem premier Olszewski powiedział wówczas:

„Trybunał Konstytucyjny był powołany do strzeżenia prawidłowości aktów prawnych z konstytucją. Natomiast do przyznania sobie kompetencji kontrolowania wszelkich uchwał sejmu, bo w tej chwili TK jakby przyjął założenie, że jest kontrolerem działalności sejmu, to jest w moim przekonaniu pozakonstytucyjna uzurpacja.”

Wkraczanie sądownictwa w kompetencje innych władz jest zresztą problemem nie tylko polskim, ale u nas jest to szczególnie widoczne. Miłośnicy demokracji powołują się na trójpodział władz i na niezależność sądownictwa. Problem w tym, że o ile pozostałe władze poddane były weryfikacji wyborczej, to sądownictwo tylko się powieli w wielopokoleniowych klanach prawniczych, a przecież opresyjny „wymiar sprawiedliwości” był rdzeniem i filarem reżimu komunistycznego. Sądownictwo było nierozdzielnie zintegrowane z policją polityczną. W esbeckich papierach czasem można znaleźć adnotację „skład orzekający zabezpieczony”. To na UB i SB ustalano wyroki, które „niezawisły” sędzia odczytywał na sali sądowej. W PRL nikt nie wymagał apolityczności sędziów - 60 % z nich należało do PZPR (w Sądzie Najwyższym nawet 80 %), a wspomniani koszalińscy sędziowie SN stali się apolityczni, bo im „wyprowadzono sztandar” likwidując PZPR w 1990 roku. Dziś sędziowie nie należą do partii politycznych, lecz nad sądami w dalszym ciągu unosi się duch Igora Andrejewa – twórcy Centralnej Szkoły Prawniczej im Teodora Duracza.

Dlatego złowrogo brzmią słowa sędzi Kamińskiej (tej od „nadzwyczajnej kasty”) - *„w końcu i tak my będziemy wydawać wyroki”*.

Jan Martini

Turysta pojechał do dzikich krajów. Gdzieś na końcu świata zasiada do kolacji przy ognisku razem z tubylcami. Turysta pyta:

- A czy ludzi to jadacie ?
- Nie, my jesteśmy cywilizowani.
- A jakie są wasze ulubione dania ?
- No, na przykład rolada turystyczna.
- Co to jest ?
- Bardzo proste. Pyton połyka turystę, a my łapiemy, pieczemy i jemy tego pytona.

Rebe, powiedz mi, ty wszystko wiesz, ja znalazłem w gojowskiej gazecie takie trudne słowo: alternatywa. Co to ma być ?

Rebe głaszcze się po brodzie.

- Wyobraź sobie Chaim, że masz dwa jajka, z tych jajek wykluwa ci się kogucik i kurka. Po pewnym czasie, kurka znosi następne dwa jajka, z których znowu wykluwa się kogucik i kurka. I tak po roku, masz już całe podwórko kurek i kogucików. No i wtedy przychodzi wielka powódź i zalewa ci całe gospodarstwo.

- No dobrze, rebe, ale gdzie ta alternatywa ?

- Kaczki !

Matematykowi zepsuł się grzejnik. Wezwał hydraulika, ten postukał jakimś kluczem, pokręcił i woda przestała cieknać.

Radość matematyka szybko się skończyła, gdy fachowiec podał cenę usługi.

- Panie, ale to połowa tego, co zarabiam.
 - A gdzie pan pracuje ?
 - Na uniwersytecie.
 - No to przenieś się pan do naszej spółdzielni, pochodzisz pan, popukasz i zarobisz pan cztery razy tyle, co na tym całym uniwersytecie. Musisz tylko pan pójść do biura, złożyć podanie i już. Tylko podaj pan, że masz pan siedem klas, bo wyższe wykształcenie u nas nie popłaca.
- Matematyk zrobił tak, jak poinstruował

go fachowiec.

Od tej pory jego dola wyraźnie się poprawiła.

Pewnego dnia przyszło zarządzenie o podnoszeniu kwalifikacji załogi i skierowano wszystkich, którzy mieli siedem klas do wieczorowej klasy ósmej. Pierwsza lekcja - matematyka.

Nauczycielka wita wszystkich:

- Dzień dobry, będziemy się uczyć matematyki, na pewno wszyscy dostaną świadectwo

ukończenia ósmej klasy. A na razie przypomnimy sobie, co pamiętamy

jeszcze ze szkoły. Może napisze pan wzór na pole koła ? -

wskazała na matematyka.

Ten wstał, podszedł do tablicy i zaczął wyprowadzać, bo akurat zapomniał wzoru.

Wyprowadza, wyprowadza, zapisał już całą tablicę i w końcu otrzymał wynik "minus pi er kwadrat".

Ten minus mu się nie spodobał, więc zaczął liczyć od nowa.

Zmazał tablicę, znowu zapisuje wzorami i znowu wynik z minusem.

Zrezygnowany patrzy na klasę oczekując odpowiedzi i słyszy szept:

- Przesuń granicę całki.

Matka rano do syna:

- Co to był za łomot w nocy jak wróciłeś ?

- Aaa nic, kurtka mi spadła.

- To co tam było w tej kurtce ?

- Ja

Koń i osioł spotkali się w domu konia na wódkę.

Tak piją, piją i nagle osioł zauważył na ścianie pełno zdjęć z zawodów i medali.

- A skąd te wszystkie pamiątki ?

- Jak byłem młodszy to zdobywało się co nieco.

Skończyli pić i umówili się, że następnym razem będą pili u osła.

Kiedy zbliżał się czas popijawy osioł zaczął myśleć, jak tu zaimponować koniowi.

Poszedł do zoo, ale dostał tylko zdjęcie zebry, które powiesił na ścianie.

I tak piją u osła, nagle koń zauważył zdjęcie na ścianie i pyta:

- Ty, osioł, a to co ?

- Aaa, to ja za czasów gry w Juventusie.

Brat Jan wstąpił do zakonu mnichów milczących.

Już na wejściu przeor zakonu powiedział:

- Witamy cię w naszych progach. Możesz robić w zasadzie co ci się podoba, ale nie możesz się odzywać, chyba że ja ci na to pozwolę.

Po 5 latach przeor przychodzi do Jana i mówi:

- Bracie Janie, dziś 5 rocznica twojego przyścia do nas, więc możesz powiedzieć 2 słowa.

- Niewygodne łóżko.

- Dobrze, rozumiem, zajmiemy się tym.

Wymienili mu łóżko na wygodniejsze.

Znów minęło 5 lat i znów przychodzi przeor:

- Bracie Janie, dziś 10 rocznica twojego przyścia do nas, możesz powiedzieć 2 słowa.

- Zimne jedzenie.

- Dobrze, rozumiem, zajmiemy się tym.

Zaczął dostawać ciepłe żarcie.

Po kolejnych 5 latach przeor przychodzi i mówi:

- Dziś mija 15 lat od kiedy postanowiłeś być z nami, możesz powiedzieć 2 słowa.

- Chcę odejść.

A przeor na to - smutnie kiwając głową:

- Wiedziałem, że tak się to skończy. Od

samego początku tylko narzekasz !

Wiejska dyskoteka. Stoi samotnie dziewczyna - nikt z nią nie tańczy.

Nagle podbiega do niej jakiś chłopak i zaczyna tańczyć.

Ona:

- Powiedz mi, czy jesteś stąd ?

- Tak.

- Dlaczego cię wcześniej nie widziałam ?

- Siedziałem... 15 lat.

- Tak ? Za co ?

- Zabiłem swoją żonę siekierą!

Ona poprawia włosy, obciąga sukienkę i mówi z figlarnym uśmiechem:

- Więc mówisz mi, nie jesteś żonaty...?

Rzut na taśmy

(dokończenie)

Jeszcze do końca roku rozmaici „eksperci” będą się sprzeczać na temat oceny wyników, ustępując (albo i nie) czasu antenowego na czas świąteczny.

A już na wiosnę następna fala kampanijna, tym razem spod znaku eurokołchozu. Znowu zacznie się to samo. Bo w sumie we wszystkich obszarach dominuje i będzie dominowała tematyka polityki ogólnej, a nie—jak by się zdawało—działalności samorządowej obecnie, a potem europejskiej. Tak więc będziemy mieli następne, odgrzewane kotlety, a wśród nich kolejne „rzuty na taśmy”. Skutków tego wszystkiego będzie tyle, co kot napłakał, ale za to jakże potężne odgłosy.

I tak w kółko Macieju. A Kowalski myśli sobie: i co ja z tego będę miał ?

Remigiusz Ostrowski

Program Koalicji Obywatelskiej dla Polski



Europa zdecydowanie potrzebuje ubogacenia kulturowego z Afryki.



Polski cmentarz wojskowy na Monte Cassino (fot. archiwum)

W Dniu Wszystkich Świętych oraz w Zaduszki Polacy nie tylko w Polsce uczestniczą w liturgii mszy świętej, lecz także odwiedzają groby zmarłych. Bo przecież polskie groby są rozsiane po całym świecie. Polskie mogiły rozciągają się od najdalszych zakątków Syberii, przez Kazachstan, ziemie pocurzońskie czyli Kresy, Bliski Wschód, Europę po obie Ameryki. Niektóre z nich uległy już naturalnej degradacji środowiskowej, wiele jest opuszczonych. O nich przypomina czasem zmurszały krzyż, wbity w zmarzniętą ziemię tajgi czy tundry, kazachskiego stepu czy po prostu płasko wbudowana w murawę niewielka płytką z nazwiskiem na cmentarzach amerykańskich. To polscy zesłańcy, emigranci a także ci, których winą nie jest odsunięcie granic Polski na zachód. Wiele z niegdyś wspaniałych grobowców największych przedstawicieli polskiej kultury na Kresach było i jest systematycznie niszczone czy po prostu skazanych na zagładę naturalną. Ostatnio czyni się wielkie starania, by rekonstruować szczególnie ważne polskie nekropolie we Lwowie czy Wilnie. Na wielu polskich cmentarzach w Polsce, zwłaszcza na Powązkach ale nie tylko, zbierane są dobrowolne datki na ten cel. O tym też warto pamiętać, kiedy znajdziemy się na cmentarzu 1 listopada.

Poza granicami Polski istnieją wielkie nekropolie, z których najbardziej znanymi są cmentarze: Łyczakowski we Lwowie, na Rosji w Wilnie czy cmentarz żołnierzy polskich gen. Władysława Andersa pod Monte Cassino. To nekropolie-symbole

tragicznych losów Polski XX wieku. Ale poza nimi istnieje wiele polskich cmentarzy—mniejszych lub większych. Pochylmy się w modlitewnej zadumie nad tamtymi grobami, często już bezimiennymi, zapomnianymi.

W polskiej tradycji istnieje wspaniały zwyczaj, by zapalić świeczkę na grobach polskich bohaterów narodowych, ale także na grobach opuszczonych. Nasza Ojczyzna jest ich pełna. Opuszczeni, wyklęci żołnierze polskiego podziemia nadal czekają na ich znalezienie, identyfikację i godny pochówek z przywróceniem pamięci o nich następnym pokoleniom. Część z nich spoczywa na warszawskiej Łączce, ale przecież tych bezimiennych polskich bohaterów są tysiące. Niektórzy z nich stale spoczywają gdzieś pod podłogami byłych więzień UB, gdzieś w zbiorowych mogiłach, na których posadzono drzewa czy wybudowano aleje. Oni też czekają na naszą modlitwę.



Polskie mogiły sióstr Felicjanek w Albuquerque w stanie New Mexico (fot. własna PSF)

Polacy na emigracji, jeśli sami nie posiadają na cmentarzach lokalnych swoich najbliższych, przyjaciół czy znajomych, w Dniu Wszystkich Świętych zapalają symboliczne lampki na grobach tych, którzy mają polskie nazwiska. Jeśli nawet takich mogił brak, przenoszą polską, piękną tradycję zapalenia lampki na opuszczonych grobach. Wszędzie jednak myśli wędrują ku Polsce, modlitwa za zmarłych posiada większą siłę blasku od tysięcy świeczek.

Roman Skalski

11 listopada obchodzić będziemy setną rocznicę Odzyskania przez Polskę Niepodległości. Datę tego szczególnego dnia obrano na pamiątkę przekazania w Warszawie przez Radę Regencyjną Józefowi Piłsudskiemu zwierzchniej władzy nad wojskiem polskim. Było to bez wątpienia doniosłe wydarzenie, które dodatkowo zbiegło się z oficjalnym zakończeniem wyniszczającej I wojny światowej i podpisaniem w lasku Compiegne pod Paryżem kapitulacji Niemiec. Zaraz po przekazaniu władzy wojskowej, Józef Piłsudski—jako Naczelnny Dowódca Wojsk Polskich—stał się tymczasowym zwierzchnikiem odrodzonego po 123 latach niewoli Państwa Polskiego.



Marszałek Józef Piłsudski

Warto jednak pamiętać, że niepodległość Polski nie „wybuchła” właśnie 11 listopada. Na jej ogłoszenie złożyła się wielka praca narodowa, datująca się od schyłku XIX wieku oraz nieprzewidywalne w 1914 roku wydarzenia samej wojny. Polskie obozy polityczne okresu przedwojennego prezentowały różne wizje dążeń niepodległościowych. O ile środowiska prawicy narodowej upatrywały przyszłość Polski w oparciu o państwa Ententy (Anglię, Francję, Rosję, a później i Stany Zjednoczone), o tyle socjaliści związani z

Józefem Piłsudskim widzieli rozwiązanie kwestii niepodległości w sojuszu z monarchią austro-węgierską, walczącą u boku Niemiec. W podobnym kierunku ciążyli również ludowcy, których kolebką działalności politycznej była Galicja.

Wydarzenia okresu wojny wykazały, że żadna z orientacji nie „postawiła na właściwego konia”, chociaż nie było tutaj niczyjej winy. Rewolucja bolszewicka w Rosji oraz klęska Niemiec sprawiły, że powojenna rzeczywistość mogła się rysować tylko w oparciu o realną siłę zwycięskich państw zachodnich. Popierający początkowo (w ramach Ententy) Rosję obóz narodowy Romana Dmowskiego oraz związanych z nim Ignacego Paderewskiego czy gen. Józefa Hallera był bliższy temu celowi niż Józef Piłsudski, który był postrzegany na Zachodzie jako wódz legionów, walczących po stronie wrogich państw centralnych.

Tutaj dochodzimy do najistotniejszej sprawy: niebywalej odpowiedzialności polityków wszystkich środowisk politycznych i ich dojrzałości na drodze do wolnej Ojczyzny. Pomimo dzielących ich różnic potrafili oni wspólnie pociągnąć ów „wóz”, któremu na imię Polska. Na tym polegała ich wielkość, przed którą należy pochylić czoła. Wydaje się, że wszyscy oni zdawali sobie sprawę z prostego faktu, iż w obliczu najważniejszego celu: odzyskania niepodległości Polski, na bok muszą odejść wszelkie różnice partyjne czy nawet osobiste animozje.

Z tego też powodu nie wolno zapominać, że odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku nie było dziełem tylko jednego wodza, tylko jednego obozu politycznego. Było ono dziełem wspólnym najwybitniejszych przywódców, jakimi Bóg obdarzył Polskę w początkach XX wieku: Romana Dmowskiego, Wojciecha Korfańskiego, Ignacego Paderewskiego, Józefa Piłsudskiego, czy wreszcie Wincentego Witosa. Celowo przy tym wymieniam ich w kolejności alfabetycznej nazwisk.

Kiedy 10 listopada 1918 roku otoczony wielką sławą wódz legionów Józef Piłsudski przybył do Warszawy, by następnego dnia otrzymać z rąk Rady Regencyjnej zwierzchnictwo nad wojskiem polskim,

istniały już na terenie byłego Królestwa Polskiego lokalne ośrodki władzy, by wspomnieć chociażby o działającej od 19 października Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, od 28 października Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie, czy też utworzonym w nocy z 6 na 7 listopada w Lublinie socjalistycznym Tymczasowym Rządzie Ludowym Republiki Polskiej Ignacego Daszyńskiego. Dodatkowo, już w dniu 7 października Rada Regencyjna oficjalnie ogłosiła powstanie niepodległej Polski. Wszystkie te ośrodki podporządkowały się Józefowi Piłsudskiemu, który—jako oficjalny zwierzchnik polskich sił zbrojnych—jako jedyny dysponował stworzonymi przez siebie legionami—zaczątkiem wojska polskiego.



Roman Dmowski

Jednakże ogłoszenie niepodległości wcale nie oznaczało jeszcze powstania rzeczywistego Państwa Polskiego, któremu brakowało przede wszystkim ustalonych w pokojowy sposób granic. Nie było ich ani na wschodzie, ani na zachodzie, a i częściowo na południu (Zaolzie). Same legiony z czasów wojny były niewystarczającą siłą do

Nasz drogi wódz



Józef Piłsudski (1867 – 1935)



Leonarda Lewandowska (1861-1901)



Maria Juszkiewiczowa (1865-1921)



Aleksandra Szczerbińska (1882-1963)



Eugenia Lewicka (1896-1931)



Jadwiga Burhardt (1901-1965)

Przyniósł Polsce niepodległość, lecz unieszczęśliwił wszystkie swoje kobiety. Chociaż traktował je instrumentalnie, one wprost uwielbiały tego nietuzinkowego, fascynującego człowieka. Żadna z porzuconych przez niego dam nigdy już nie związała się z innym mężczyzną. A dwie z nich – te,

które zdobyły jego pierwsze i ostatnie uczucie – wołały umrzeć, niż żyć ze świadomością odrzucenia przez niego. Marszałek jednak niespecjalnie cenił kobiety, wyznaczając im w życiu męczyzny podrzędną rolę, ograniczoną do pokoju dziecinnego, kuchni i ewentualnie kościoła. Świat

kobiecych zmysłów i doznań niezbyt go interesował i nawet nie starał się go zrozumieć. Reprezentował typowo męski światopogląd: żona ma być miła, posłuszna, ma dobrze gotować i rodzić dzieci. W swojej mentalności nie różnił się od innych oficerów i wojskowych

Ciąg dalszy na stronie 11



Kazimiera Illakowiczówna (1892-1983)

swoich czasów. Jak napisał ktoś o nim (zapewne kobieta): „Piłsudski nie był erotomanem jak Mussolini, impotentem jak Hitler czy sadystą jak Stalin – był po prostu klasycznym, despotycznym i egoistycznym samcem”. Największym, bezwarunkowym uczuciem Piłsudski obdarzył, obok swojej matki, także dwie córki – Wandę i Jadwigę. Pozostałe kobiety przegrywały z kretelem z największą miłością jego życia – Polską.

*

Po ukończeniu gimnazjum w Wilnie, w roku 1885 Józef dostał się na studia medyczne na Uniwersytecie w Charkowie. Tam związał się z socjalistyczno - rewolucyjnym ruchem Narodna Wola. Za udział w studenckich rozruchach po roku nauki został jednak wydalony z uczelni. Nie został również przyjęty na Uniwersytet w estońskim Dorpacie, którego władze zostały powiadomione o jego sympatiach politycznych. Za zaangażowanie w działalność wileńskich socjalistów 22 marca 1887 roku został Piłsudski aresztowany i pod zarzutem udziału w spisku zmierzającym do obalenia cara

Aleksandra II zesłany na pięć lat na Syberię. Jego starszy brat Bronisław zainkasował 15 lat katorgi. (1)

Barkami rzeczny, pieszo, wreszcie saniami po zamarzniętej Lenie dotarł do Kireńska. Po drodze, w Irkucku, uczestniczył w więziennym buncie, podczas którego, uderzony kolbą w twarz, stracił przednie zęby. Doskwierał odmienny, surowy klimat, koszmarnie warunki w przejściowych więzieniach, brudne i pełne robactwa cele, wreszcie uciążliwa obecność kryminalistów w konwoju.

Sam pobyt na Syberii – najpierw w Kireńsku, potem we wsi Tunka – nie okazał się jednakowoż aż tak dokuczliwy. Zesłaniec mógł polować, spławiać drewno, dorabiać jako pisarz kancelaryjny u jednego z miejscowych kupców, bez przeszkód kontaktować się z innymi skazańcami i wieść z nimi burzliwe dyskusje, podczas których rodziły się najbardziej szalone i oryginalne pomysły uzdrawiania świata, obalania rządów i wywoływania rewolucji. Wśród oparów papierosowego dymu, woni wilgotnych płaszczy i przepoconych koszul nieudani poeci, polscy emigranci i zwykli alkoholicy wyrzynali w pień królów i carów, zakładali zakony zarodowe na szczęśliwą przyszłość ludzkości, rozdzielali między siebie kobiety i zagrabione przez burżujów skarby. Znosili wszelką własność, tęskniąc do nowej pary własnych kalesonów. Pędził więc Piłsudski na Syberii dość leniwy żywot, wypełniony poszukiwaniem zarobku, by nie przymierać głodem, ale też lekturą, spacerami, polowaniami, grą w szachy czy wyprawami wędkarskimi. Często nawet się nudził, o czym wiemy z jego zachowanych listów.

Podczas pobytu w Kireńsku, w kwietniu 1889 roku, w domu socjalisty Stanisława Landego poznał swą pierwszą, młodzieńczą miłość. Była siostrą żony gospodarza, Felicji Landowej, nazywała się Leonarda Lewandowska i była od

młodego rewolucjonisty o sześć lat starsza. On miał wtedy 22 lata, ona 28. Leonarda, socjalistka z przekonania, pochodziła ze zruszczonej polskiej szlachty osiadłej na Litwie. Wychowana w rodzinie kontynuującej polskie tradycje narodowe lecz w niepolskim otoczeniu, nie władała językiem ojczystym, co często irytowało Piłsudskiego. (Jednak to właśnie za ową patriotyczną działalność trafiła przecież na Syberię). To ona wprowadziła młodego Józefa w arkana sztuki miłosnej i pokochała tego niezwykle, ale też obdarzonego trudnym charakterem i narcystyczną osobowością mężczyznę.

Niebawem młodzi zamieszkali wspólnie pod jednym dachem. Taki niesakramentalny związek, który raczej nie byłby do pomyślenia w kraju, na Syberii wśród zesłańców nie był niczym niezwykłym ani nikogo nie gorszył. Większość par żyła właśnie w ten sposób, zupełnie nie dbając o zalegalizowanie łączących ich relacji. W zesłańczych warunkach nie liczyły się też ani różnica wieku, ani perspektywa bliskiego rozstania – termin zesłania panny Lewandowskiej kończył się latem 1890 roku.

Oprócz kochanki, Piłsudskiemu potrzebna była także gospodyni. „Kwatera moja – pisał do Leonardy już po jej wyjeździe (2) – to szczyt nieładu i niegospodarności (...), kiedy doprawdy tak trudno porządkować, wymiatać...”. Ktoś, kto za darmo gotował i „wymiał”, był więc nad wyraz pożądanym... Surowy klimat i dotkliwa bieda sprawiały, że żyło im się ciężko. Piłsudskiemu władze nie przyznały dziesięciorublowego miesięcznego zasiłku, należnego zesłańcom, motywując decyzję zamożnością ojca.

Józef nie posiadał się ze szczęścia, takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Nie tylko zniknęły kłopoty związane z prozaicznymi czynnościami dnia

codziennego, w których ukochana całkowicie go wyręczała, ale także miał nareszcie swój własny dom, o którym zawsze marzył. Zakochani nie wyobrażali sobie życia bez siebie, godzinami rozprawiali o wspólnej przyszłości, już po odzyskaniu wolności. W Leonardzie Lewandowskiej Piłsudski odnalazł nie tylko oddaną towarzyszkę życia i organizatorkę dnia codziennego, ale także podporę duchową i bratnią duszę.

Z miłości do Ziuka (jak nazywali go najbliżsi) Leosia (lub Olesia) – jak o sam pieszczotliwie ją nazywał - nauczyła się polskiego. Pierwsze listy na Syberię pisała wprawdzie jeszcze po rosyjsku, ale kolejne już po polsku. Niestety, adresat nie docenił jej starań. Choć sam używał rusycyzmów i robił błędy ortograficzne, to wyrzucał dziewczynie, że myli „ż” z „rz”, i w ogóle „straszne herezje po polsku wypisuje”. Niezrażona Leosia wciąż modliła się o niego, ponieważ Piłsudski przeżywał w tym czasie neurasteniczne nastroje. Deklarowała też chęć poczynienia starań o skrócenie mu kary zsyłki, ale Piłsudski stanowczo zabronił jej tego czynić, gdyż ceną wolności byłaby konieczność złożenia deklaracji lojalności.

Po wyjeździe Leonardy do kraju sielanka się zakończyła. Mimo zapewnień o dozogonnej miłości, związek na odległość nie przetrwał próby czasu. Nie pomogły płomienne listy, jakie do siebie wysyłali. Para pisywała do siebie regularnie przez prawie półtora roku. Od 13 sierpnia 1890 roku do 11 grudnia roku 1891 zachowały się 23 listy Piłsudskiego, które do dzisiaj stanowią najpełniejsze źródło wiedzy o latach spędzonych przez niego na Syberii.

Co gorsza, szybko wokół samotnego Józefa zaczęły pojawiać się przebywające na zesłaniu inne kobiety, w ramionach których szybko znalazł pocieszenie i o których – nie licząc się z jej uczuciami - nie omieszkali Leosi

donieść w listach. Historycy wspominają o dwóch (domniemanych) kochankach, Lidii Łojko – aresztowanej w 1886 roku za działalność antypaństwową oraz Polce z Ukrainy, skazanej za to samo, niejakiej pannie Gubarewej. Kiedy Leonarda zarzuciła mu zbyt duże zainteresowanie Gubarewą, Dziuk odpisał:

„Po pierwsze, zwycięstwo byłoby zbyt łatwym, po drugie, natura i charakter u niej zbyt prosty, by przedstawiało to nawet pewien interes psychologiczny, po trzecie, po trzecie Mileńka, ja zbyt kocham swoją Olesię, bym się miał zajmować bałamuceniem facetek, jeżeli kogo i zbałamucę, to wierz mi, bez żadnej chęci osobiwej z mojej strony”.

O Lidii Łojko natomiast, informował: „(...) facetka miła, a oprócz tego przyzwyczajony jestem czuć kogokolwiek bliskiego koło siebie”. Rzecz zrozumiała, że takie wieści nie uspokajały Leonardy, pesymistki z natury, zamartwiającej się nawet drobnymi sprawami. A Piłsudski pisał coraz rzadziej. Początkowo regularnie wysyłał jeden list tygodniowo, teraz natomiast zdarzało mu się nie odpisać nawet przez dwa tygodnie! Od swoich kobiet oczekiwał wsparcia, a tymczasem listy Lewandowskiej pełne były troski i niepokoju o przyszłość ich związku.

Latem Józef prosił Leonardę, by o nim zapomniiała i – jeśli może – przebaczyła mu. W kolejnym liście tłumaczył zdradę:

„Chcesz wiedzieć, co mnie skłoniło do napisania ostatniego listu do Ciebie. Miła Leosiu! Detalicznie opisać Ci tego nie mogę. Osobiście mógłbym Ci to powiedzieć. Lecz zrozumiej, że listownie nie mogę Ci mówić o rzeczach, gdzie zamieszana jest tajemnica trzeciej osoby. W ogóle zaś oto, co zaszło. Ja, kochając Ciebie, oddałem się drugiej osobie. Ja piszę, kochając Ciebie, gdyż pomimo że starałem się wmówić w siebie, że tak nie jest, miłość moja ku Tobie, Droga

Leosiu, była silniejsza, jak to się ostatecznie okazało. Zrozumiesz więc łatwo, że postąpiłem bardzo nieładnie. Stosunek ten był bardzo krótkim, gdyż z powodu istnienia we mnie innego uczucia stosunek ten i dla mnie, i dla niej był zbyt męczącym. Skończyło się na tym, żeśmy się rozeszli, ona z goryczą na mnie, ja jeszcze z jedną płamą w mym życiu”.

Leonarda ufna, że są to tylko przejściowe romanse, przebaczyła swemu niewiernemu kochankowi związki z innymi „facetkami”, jak nazywał owe kobiety, i nadal pisała...

W kwietniu 1891 roku Piłsudski zobowiązał się wobec Lewandowskiej, że „jeżeli się kiedy przekonam, że rzeczywiście nie czuję do Ciebie nic z tego, co było dawniej i jest teraz, nie będę oszukiwał, lecz powiem wprost o tem, pomimo że zawsze jest nadzwyczaj ciężko i nieprzyjemnie”.

Co by nie mówić, słowa dotrzymał. Cztery miesiące później napisał do niej dość oschły list pożegnalny, stwierdzając w nim, że „nie jest jej godny i życzy jej szczęścia”. Kiedy latem 1892 roku wrócił z zesłania, nie miał najmniejszego zamiaru utrzymywać swej syberyjskiej znajomości. Wbrew wcześniejszym obietnicom nie odwiedził Lewandowskiej na Ukrainie i napisał tylko jeden, nadany w Ciechocinku lakoniczny i bardzo oficjalny list. Po przeczytaniu nagłówka, w którym już nie nazywał jej Leosią, Mileńką czy też Ukochaną, lecz tylko „Szanowną Panią Leonardą”, dziewczyna musiała zdać sobie sprawę z tego, że Piłsudski ostatecznie kończy znajomość. Był to ich ostatni kontakt i koniec syberyjskiej miłości.

Porzucona Lewandowska wciąż jednak łudziła się, że odnowi znajomość z Ziukiem i że będą żyli długo i szczęśliwie. Nigdy już nie zdecydowała się na małżeństwo, nie potrafiąc znaleźć sobie nikogo, kto mógłby u jej boku zastąpić ukochanego mężczyznę. W końcu umarła

egzekucji jakichkolwiek granic, zaś rekrutacja do nowo tworzonego wojska—przy ogromnym zapale i zaangażowaniu się Polaków—również wymagała czasu.



Wincenty Witos

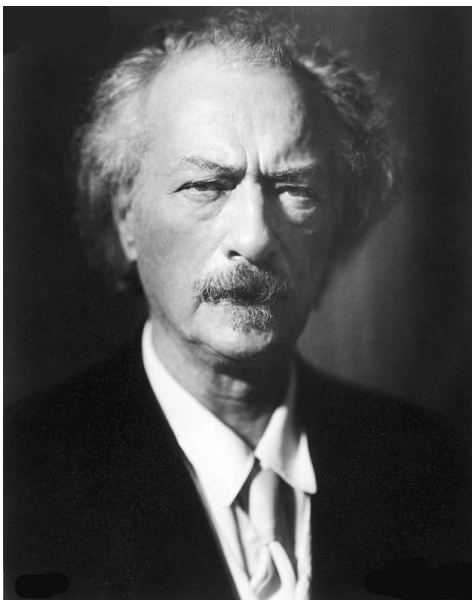
Z wielką pomocą przyszedł Piłsudskiemu ruch ludowy pod wodzą Wincentego Witosa. Zbudowane przez niego Stronnictwo Ludowe, później Polskie Stronnictwo Ludowe było od początku kuźnią świadomości narodowej wśród chłopów. Przypomnijmy sobie, że przez większość XIX wieku udział chłopów w jakichkolwiek zrywach ograniczał się zwykle do kwestii ich wolności osobistej na uprawianej ziemi (np. kwestia uwłaszczenia). Wieloletnia praca na polu narodowym stronnictwa Wincentego Witosa wydała właśnie na samym początku niepodległości znakomite owoce. Chłopom udzielił się wielki, patriotyczny zapal, zaczęli masowo zasiląć tworzącą się polską armię.

Jednocześnie działający na Zachodzie Komitet Narodowy Polski tworzył w tym czasie we Francji Armię Polską znaną pod nazwą „Błękitnej Armii” pod dowództwem gen. Józefa Hallera z zamiarem przerzucenia jej do Polski. Była to świetnie wyszkolona i uzbrojona formacja, posiadająca w swoich oddziałach pierwszą

polską broń pancerną: francuskie czołgi Renault. Wstępowali do niej Polacy, mieszkający na emigracji: we Francji, Anglii USA, Kanadzie czy Brazylii, a także polscy uciekinierzy z armii niemieckiej oraz austriackiej. Zakończenie wojny nie przerwało werbunku i szkolenia i już w kwietniu 1919 roku gen. Józef Haller zameldował depeszą marszałkowi Piłsudskiemu o przybyciu „Błękitnej Armii” w granice Polski. Liczyła ona wówczas 100 tysięcy doskonale wyszkolonych żołnierzy i została początkowo przerzucona do Galicji, do walki z Ukraińcami, szybko wyzwalając ziemię aż do linii rzeki Zbrucz. Następnie została przerzucona na Pomorze, gdzie oczyszczała z sił niemieckich ziemię, przyznane Polsce przez Traktat Wersalski.

W dniu 27 grudnia 1918 roku do Poznania przybył—jako reprezentant Komitetu Narodowego Polskiego—słynny polski pianista i polityk Ignacy Jan Paderewski. Jego przybycie zaowocowało natychmiastowym wybuchem Powstania Wielkopolskiego, które oczyściło ten region Polski z rządów niemieckich i ustaliło zachodnią granicę polsko-niemiecką, w zasadzie zaakceptowaną później w traktacie pokojowym.

Ogłoszenie niepodległości Polski nie tylko



Ignacy Jan Paderewski

pozostawiało odrodzony kraj bez granic, ale również bez przemysłu. Ziemie centralne, przez które niejednokrotnie przetaczał się front, były z niego ogołocone. Zniszczenia powojenne nie rokowały nadziei na szybką jego odbudowę, zaś uprzemysłowiony Górny Śląsk był ciągle pod władzą niemiecką. Nieprzychylnie nastawiony do Polski brytyjski premier Lloyd George nie dopuszczał myśli, by konferencja wersalska rozważała powrót Śląska do Polski, o co usilnie zabiegali przedstawiciele polscy: Roman Dmowski i Ignacy Paderewski. Ich wielkim sukcesem było ustabilizowanie się zachodniej granicy w Wielkopolsce, a także dostęp do Morza Bałtyckiego. Ta druga sprawa była zasługą Ignacego Paderewskiego, pod którego wpływem ówczesny prezydent USA Woodrow Wilson, w sformułowanych celach wojny umieścił punkt, który mówił o wolnej Polsce z dostępem do morza. Dzięki temu zapisowi Polska odzyskała wąski pas Pomorza, chociaż bez Gdańska, który został określony jako Wolne Miasto.

Przyszłość Śląska zadecydowała się dzięki serii powstań śląskich już po konferencji. Pierwsze dwa powstania w 1919 i 1920 roku miały zasięg lokalny. Kierował nimi Alfons Zgrzebnik. Przyniosły jednak pewien sukces, którym było z jednej strony przeprowadzenie Plebiscytu, z drugiej zaś pokazały samym Ślązakom ich siłę liczebną jako ludności polskiej. Plebiscyt okazał się niekorzystny dla Polski, ale w odpowiedzi na nieprawidłowości w działaniu przeprowadzającej go Komisji Międzysojusznicznej, wybuchło trzecie powstanie w roku 1921. Jego dyktatorem został Wojciech Korfanty. W wyniku dobrze zorganizowanego powstania. Zakończyło się ono wielkim sukcesem, a konferencja w Genewie w 1922 roku oficjalnie przyznała Polsce 1/3 spornego terytorium, a więc to, co zdobyli powstańcy. Znajdowało się na nim 50% hutnictwa i 76% wszystkich kopalń Śląska. Była to zatem solidna podstawa przemysłowa odrodzonej Polski.

11 listopada 1918 roku zapoczątkował więc proces realnego powstawania Państwa

także i nadzieja, a wraz z nią zakochana Leosia, która na wieść o ślubie Józefa popełniła w 1901 roku samobójstwo.

Maria z Koplewskich, primo voto Juszkiewiczowa uchodziła za najpiękniejszą kobietę na Litwie. „Piękna dama” - mówiono o niej w szeregach PPS. Starsza o dwa lata od Józefa, niezwykle inteligentna socjalistka, nie stroniła od uciech życia. O jej przeszłości nie wszyscy wypowiadali się pochlebnie. Była córką Ludmiły z Chomiczów i Konstantego Koplewskiego. Pochodziła z zamożnej wileńskiej rodziny. Ojciec był szanowanym lekarzem. Ukończyła uniwersytet dla kobiet w Sankt Petersburgu, tzw. studia Bestużewa i pracowała jako nauczycielka. Należała też do założonego w 1882 roku przez Ludwika Waryńskiego Wielkiego Proletariatu – pierwszej polskiej partii robotniczej opierającej się na założeniach marksizmu, anarchizmu oraz ideologii rosyjskiej Narodnej Woli. Z zakończonego rozwodem pierwszego małżeństwa, z Marianem Juszkiewiczem - wysokiej rangi urzędnikiem w ministerstwie komunikacji, miała córkę Wandę Juszkiewiczównę (1889–1908).

Aresztowana wraz z liczną grupą „proletariatczyków” w nocy z 29 na 30 października 1885 roku, została ukarana nakazem wyjazdu z Warszawy do miejsca urodzenia, czyli Wilna. Będąc córką znanego wileńskiego lekarza, miała wielu znajomych i przyjaciół. Jej dom stał się miejscem spotkań, rozmów i dyskusji uczestników konspiracji narodowej i socjalistycznej. Maria skupiała wokół siebie ludzi o różnych orientacjach politycznych, połączonych opozycyjną działalnością wobec caratu. Związała się z ruchem socjalistycznym emocjonalnie, przyjmując przede wszystkim jego wymiar niepodległościowy i nie angażując się w sprawy partyjne.

Śliczna, zdolna, inteligentna, towarzyska. I do tego zaprawiona w boju konspiratorka. Trudno się dziwić, że

zainteresował się nią także i Piłsudski, który w lipcu 1892 roku powrócił z Syberii do Wilna.

Kilka miesięcy później wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej, stając się niebawem jej przywódcą. W zaborze rosyjskim, tak jak zresztą w całej Rosji, działalność polityczna była zabroniona, toteż „towarzysz Wiktor” (takiego pseudonimu używał) został spiskowcem. Życie w konspiracji nie należało do łatwych. Tropieni przez żandarmerie i policję, stale zagrożeni aresztowaniem i wysokim wyrokiem, pozbawieni kontaktu z najbliższą rodziną, spiskowcy zmuszeni byli ciągle zmieniać miejsca pobytu. Używali cudzych nazwisk i fałszywych dokumentów. Od maja 1899 roku Maria Juszkiewiczowa zaczęła dzielić z Józefem konspiracyjne ryzyko.

Na drodze do ich szczęścia pojawiła się jednak przeszkoda i to nie byle jaka – sam Roman Dmowski. Walka obu panów o względy Marii trwała trzy lata. Ostatecznie zwyciężył Józef. Para wzięła ślub 15 lipca 1899 roku w luterańskim kościele w Paproci Dużej. Aby małżeństwo z rozwiedzioną Marią mogło dojść do skutku, Piłsudski zmienił oficjalnie wyznanie, z rzymskokatolickiego na ewangelicko - augsburskie. Rywalizacja o Marię Juszkiewiczową podzieliła Piłsudskiego i Dmowskiego na zawsze. Od tego momentu stali się odwiecznymi wrogami – zarówno na gruncie prywatnym, jak i w polityce.

Małżonkowie zajęli się konspiracją – najpierw w Wilnie, następnie przenieśli się do Łodzi, gdzie w domu przy ulicy Wschodniej 19, w którym mieszkali pod nazwiskiem Dąbrowscy, uruchomili tajną drukarnię, redagując i kolportując „Robotnika”, socjalistyczne pismo wydawane w kraju od 1894 roku. Ktoś jednak zdradził. Nocą z 21 na 22 lutego 1900 roku do łódzkiego mieszkania Piłsudskich wkroczyli żandarmi. Nastąpiły aresztowania. Obydwoje małżonkowie „Dąbrowscy”

wylądowali w warszawskiej Cytadeli.

Piłsudski zaczął symulować chorobę psychiczną, polegającą na alergicznym traktowaniu wszystkich, którzy noszą mundury. Nie przyjmował z ich rąk niczego, nawet jedzenia. Przewieziony do szpitala dla umysłowo chorych Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu, uciekł stamtąd dzięki pomocy doktora Władysława Mazurkiewicza oraz działaczy PPS Aleksandra Sulkiewicza i Marii Paszkowskiej. Jego żona, po 11 miesiącach śledztwa, została zwolniona z nakazem zamieszkania w Wilnie. Potraktowano ją jako „ofiara miłości”, ponieważ według prawa rosyjskiego żona nie ponosiła odpowiedzialności za czyny męża.

Obydwoje przedostali się do Galicji, do zaboru austriackiego, skąd wyjechali do Londynu, gdzie mieściło się kierownictwo PPS. Mimo planów dłuższego pobytu nad Tamizą, w kwietniu 1902 roku Józef i Maria powrócili do kraju. Zamieszkali najpierw we Lwowie, a potem, w 1904 roku we trójkę, razem z córką z pierwszego małżeństwa Marii, w Krakowie.

Do wybuchu I wojny światowej krakowskie mieszkanie Piłsudskich stanowiło centrum działalności konspiracyjnej. Maria prowadziła dom otwarty, starając się przy tym nie odstępować Józefa ani na krok, pozyskując przy okazji działalność męża nowych zwolenników. Często można tam było spotkać między innymi Stefana Żeromskiego, Witolda Jodko - Narkiewicza, Witkacego - Stanisława Ignacego Witkiewicza, Kazimierę Iłakowiczównę czy jej siostrę Barbarę Czerwijowską, poetkę, nauczycielkę i tłumaczkę. W latach I wojny światowej Maria działała w Lidze Kobiet, organizowała także pomoc i opiekę dla żołnierzy Legionów.

Łagodna i wyrozumiała Maria, z oddaniem dbała o dobre samopoczucie

Józefa. Piłsudscy wychowywali córkę Marii z pierwszego małżeństwa – Wandę Juszkiewiczównę, którą Ziuk kochał jak własne dziecko, ona zaś traktowała go jak ojca. Współcześni pierwszej pani Piłsudskiej wspominali jednak, że była bardzo chorowita, a przez to niezmiernie drażliwa.

Mażeńskie szczęście nie trwało jednak długo. Ziuk ani myślał o porzuceniu polityki, Maria zaś coraz bardziej zaczynała gustować w życiu towarzyskim. Ich drogi sukcesywnie się rozchodziły. Ale naprawdę źle zaczęło się dziać w 1907, gdy w wieku 18 lat zmarła ukochana córka Marii. Wprawdzie Piłsudski także głęboko to przeżył, ale Marię ta śmierć wpędziła w głęboką depresję. Przestała być atrakcyjna dla męża. Józef przeniósł się do Warszawy, a w 1914 roku wraz z Pierwszą Brygadą na zawsze opuścił Kraków... i żonę, znalazłszy sobie idealny pretekst do wyprowadzki – wojnę. Maria nigdy jednak nie bąknęła o mężu jednego złego słowa. Nigdy nie uczyniła nic, co mogłoby zaszkodzić jego politycznej i wojskowej karierze.

Do końca swojego życia nie pogodziła się z odejściem Józefa. Nigdy nie zgodziła się na rozwód. Formalnie pozostała żoną Piłsudskiego do śmierci, chociaż faktycznie, po 1907 roku jego partnerką życiową była już Aleksandra Szczerbińska. Zmarła po długiej i ciężkiej chorobie, w szpitalu garnizonowym w Krakowie 17 sierpnia 1921 roku, w wieku 55 lat. Została pochowana na wileńskim cmentarzu na Rossie. Józef, zajęty walkami parlamentarnymi w niedawno odrodzonym państwie polskim, na pogrzeb wysłał brata, Jana Piłsudskiego. Sam nie uznał za stosowne pojawić się na cmentarzu.

W maju 1906 roku Piłsudski spotkał przy okazji prac Organizacji Bojowej PPS działaczkę tej partii, Aleksandrę Szczerbińską. Sama Szczerbińska wspominała, że poznała Józefa Piłsudskiego „wśród kilku karabinów,

między kosztami z browningami, mauserami i amunicją”. Po raz kolejny więc polityka, konspiracja i walka o niepodległość połączyły go z przyszłą żoną. Jako działaczka PPS pani Aleksandra nie tylko kierowała dystrybucją broni i amunicji, ale nie stroniła także od udziału w akcjach bojowych – w tym w tej najśłynniejszej, pod Bezdanami,⁽³⁾ a także w napadzie na Bank Państwowy w Kijowie. Działalność konspiracyjna doprowadziła ją również za kraty. Za swoje zasługi została odznaczona Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari (nr 6110, za męstwo i hart ducha wykazane w pracy niepodległościowej). Kazimiera Iłłakowiczówna opisuje ją w swej książce Ścieżka obok drogi jako „kobietę piękną i spokojną, świetną gospodynię, ale jednocześnie smutną i zamyśloną”.

Przyszła na świat 12 grudnia 1882 roku w Suwałkach, jako córka Piotra Pawła Szczerbińskiego oraz Julii Jadwigi Zahorskiej. Pani Julia Jadwiga zmarła 25 stycznia 1894 roku, pan Piotr Paweł 25 marca 1896. Po śmierci rodziców, wychowaniem osieroconej Oli zajęła się jej babka Karolina z Truskolaskich Zahorska.

W roku 1901 Aleksandra ukończyła gimnazjum w Suwałkach, po czym w latach 1901–1904 uczęszczała na kursy handlowe, studiując jednocześnie na Uniwersytecie Latającym. (Organizowane od 1882 roku w domach prywatnych w Warszawie konspiracyjne kursy samokształceniowe dla kobiet, dla których edukacja na poziomie uniwersyteckim była zamknięta, trzy lata później przekształciły się w nieformalną, tajną szkołę wyższą tzw. Uniwersytet Latający). W 1903 rozpoczęła pracę urzędniczką w fabryce wyrobów skórzanych na warszawskiej Woli.

W 1904 roku Aleksandra Szczerbińska wstąpiła do PPS. Po rozłamie znalazła się w PPS-Frakcji Rewolucyjnej. W roku 1907 została aresztowana w

Warszawie przez rosyjską policję. Przebywała jakiś czas w więzieniu na Daniłowiczowskiej, potem została osadzona na Pawiaku, skąd zwolniono ją z braku dowodów. Wyjechała do Kijowa i tam właśnie, w środowisku konspiracyjno - partyjnym poznała Józefa Piłsudskiego, stojącego wówczas na czele PPS-Frakcji Rewolucyjnej.

Znajomość Józefa z Aleksandrą, młodszą o 15 lat zubożałą szlachcianką, początkowo czysto służbowo - koleżeńską, wkrótce przerodziła się w prawdziwe uczucie. Kobieta nie kryła swojej fascynacji bojownikiem o niepodległość Polski, chociaż w swych Wspomnieniach napisała:

„Gdy wracam myślami do tego pierwszego spotkania, widzę, że wówczas i długo jeszcze potem patrzyłam na mojego przyszłego męża jak na przywódcę organizacji, a nie na człowieka, któremu może być dostępne tak ludzkie uczucie jak miłość. Ani mi wtedy nie przeszło przez głowę, żebym go mogła kiedyś pokochać i on mnie. Nasze spotkania nie miały żadnych momentów osobistych, byliśmy dwojgiem ludzi pracujących dla tej samej sprawy, członkami jednej partii i nic poza tym”.

Zauważyła jednak doskonałą prezencję swojego przełożonego:

„Stał przede mną mężczyzna średniego wzrostu, o szerokich barach, cienki w pasie. Miał dużo wdzięku i elegancji w ruchach, co zresztą zachował do końca życia. Tak lekko chodził, że zdawało się, iż nie idzie, lecz płynie, jak się później przekonałam, był doskonałym piechurem, cięższe nawet marsze znosił lepiej od ludzi silniejszych od siebie. Głowę miał małą, uszy kształtne, lekko szpiczaste, nad słuchujące, oczy osadzone głęboko, myślące, lecz przenikliwe, szaroniebieskie. Ruchliwa twarz odbijała prawie każdą jego myśl”.

Wspólna walka połączyła ich losy. Jak później przyznała, natychmiast wyczuła bijącą od Piłsudskiego „jakąś siłę niezwykłą, nieokreślony magnetyzm”. Napisała również, że ich uczucie przetrwało wszystko: „ciągnę pracę, częstą biedę, niebezpieczeństwa i niepewność jutra”. I dodała smętnie: „na razie jednak musieliśmy czekać”. Czekać na ślub, bowiem panią Piłsudską została dopiero po 15 latach ich związku, kiedy Józef był już Naczelnikiem Państwa. Skromna ceremonia odbyła się 25 października 1921 roku w Belwederze, zaledwie trzy miesiące po śmierci dotychczasowej żony Piłsudskiego, Marii. Ślubu udzielił ksiądz prałat Marian Tokarzewski, świadkami byli Bolesław Wieniawa - Długoszowski i pułkownik Eugeniusz Piestrzyński. Marszałek specjalnie dla Aleksandry przeszedł z powrotem na katolicyzm.

Po utworzeniu niepodległego Państwa Polskiego Szczerbińska ciągle pozostawała panną. Z dzieckiem, bowiem 7 lutego 1918 roku urodziła córkę Wandę. Internowany przez Niemców (22 lipca 1917 roku) Józef Piłsudski przebywał w tym czasie w twierdzy wojskowej w Magdeburgu. Mimo starań o krótkie zwolnienie na czas wizyty u Oli i narodzonego dziecka, Piłsudski pozostał w Magdeburgu aż do listopada 1918 roku. Dopiero wybuch rewolucji w Niemczech sprawił, że został zwolniony i odesłany do Warszawy. Po niemal półtorarocznym internowaniu wrócił do życia publicznego i najbliższych.

Dla współpracowników często oschły i zamknięty w sobie, w stosunku do córek był kochającym, uroczym i troskliwym opiekunem. Córek, gdyż 28 lutego 1920 roku Aleksandra urodziła drugą córkę, Jadwigę, zwaną Jagódką. Kochankowie wciąż mieszkali oddzielnie, on w Belwederze, ona w wynajętych mieszkaniach. Początkowo wynajmowała skromne dwupokojowe mieszkanie na Pradze, a potem bliżej Belwederu na ulicy Koszykowej 70. Nie

pokazywali się publicznie, żeby nie wywołać skandalu. Mimo tego, narodzinom nieślubnej córki towarzyszyło mnóstwo niewybrednych komentarzy i plotek. Zapewne to właśnie dlatego małżeństwo Aleksandry i Józefa zostało zawarte tak pośpiesznie. Ale ten pośpiech również spotkał się z powszechną dezaprobatą.

W końcu jednak zamieszkali razem, najpierw w Warszawie, potem we dworze Milusin w Sulejówku. Prowadzili tam niewystawne, lecz w miarę spokojne i uregulowane życie. Sielankowy spokój zakłóciło dopiero po 1924 roku wytopienie przez wywiad wojskowy przygotowań do zamachu stanu przez Sowietów. Po zrzeczeniu się majątku w Świątnikach (otrzymanego w ramach tzw. resztówki dla posiadaczy Krzyża Virtuti Militari), w 1930 roku Piłsudscy otrzymali dworek w Pikieliszkach.

W jednym Pani Aleksandra różniła się z mężem zasadniczo. W kwestii równouprawnienia kobiet. „(...) zgadzając się z tym, że w wolonej Polsce kobiety winny mieć prawa równe z mężczyznami, utrzymywał, że nie będą umiały wykorzystać swych praw rozsądnie, gdyż mentalność kobiety z natury jest konserwatywna i łatwo jest na nie pływać – napisała w swych Wspomnieniach. – (...) Obserwując natomiast życie pszczoł doszedł do przekonania, że nie rządzi nimi królowa, która tylko rodzi, a rządzą w ulu trutnie i one uczą robotnice, co mają robić”.

Marszałek był zwolennikiem skromnego i prostego stylu życia. Podróżując, odmawiał z korzystania ze specjalnego wagonu kolejowego (salonki), wybierając bilet drugiej klasy. Na co dzień nosił zwykłą szarą bluzę wojskową, bez odznak i orderów. Stronił od zabawy, nie znosił balów i rautów. Wolny czas najchętniej spędzał, stawiając pasjansa, zwłaszcza piramidy, które nazywano pasjansem Piłsudskiego. Lubił grać w szachy, jeździć konno oraz strzelać, chociaż czynności tych nie uważał za

uprawianie sportu. Zaczytywał się Słowackim i Mickiewiczem.

Zakazywał także przebywania w jego pobliżu ochroniarzy, stale nosił za to przy sobie rewolwer (również w nocy – kładł go obok łóżka). Cenił sobie prostą kuchnię, nie lubił jednak bigosu i grochówki, a nawet kołdunów, chociaż pochodził z Litwy. Alkohol pijał tylko w niedużych ilościach, przede wszystkim tokaj. Wypijał za to do dziesięciu filiżanek dziennie czarnej herbaty i uwielbiał słodczyce, zwłaszcza wedlowskie herbatniki i krakersy. Był nałogowym palaczem. Palił papierosy wszędzie i w każdej ilości. Delektował się „Marszałkowskimi” – papierosami produkowanymi specjalnie dla niego.

Interesował się parapsychologią, brał udział w popularnych w okresie międzywojennym seansach spirytystycznych, przeprowadzonych przez Teofila Modrzejewskiego i Stefana Ossowieckiego. Wierzył także w telepatii. Nie przepadał również za radiem i (początkowo) za kinematografią. Zdanie na temat filmów zmienił na początku lat trzydziestych, gdy w Belwederze zainstalowano przenośne aparaty umożliwiające ich wyświetlanie. Biegle posługiwał się językami: francuskim, rosyjskim i niemieckim. Nie cierpiał publicznych wystąpień, a gdy już coś mówił najczęściej „nie owijał w bawełnę”: „Wam kury szczać prowadzić, a nie politykę robić” albo „Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy”.

Ulubionym koniem marszałka była Kasztanka, klacz, którą otrzymał w 1914 roku. Służyła mu ona do roku 1927. Piłsudski posiadał także dwa psy – pierwszym z nich był Dorek, należący do rodziny jeszcze przed zamachem majowym. Drugi został przez niego nazwany po prostu „Pies”. Był wilczurem specjalnie szkolonym do pilnowania dokumentów. Prawdziwą fobią Marszałka były karaluchy, na

których widok bladł i kamieniał.

12 maja 1926 roku, po trzech latach odosobnienia politycznego w Sulejówku, Józef Piłsudski powrócił do czynnej działalności politycznej, dokonując zbrojnego zamachu stanu i przejmując władzę w państwie. Przewrót majowy był też cezurą kończącą szczęśliwy okres w życiu państwa Piłsudskich.

Aleksandra z córkami i mężem ponownie wprowadziła się do Belwederu. Po przewrocie majowym i powrocie Piłsudskiego do czynnej polityki, życie rodzinne odeszło na plan drugi. Marszałek urzędował w Ministerstwie Spraw Wojskowych, a później w Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych. Czasami zdarzało się, że przez kilka dni nie wracał z Inspektoratu do domu. Początkowo Aleksandra często odwiedzała go w pracy. Z czasem jej wizyty stały się sporadyczne, a od roku 1927 ustały całkowicie. Rzadko chodzili razem do kina czy teatru. Córki były już na tyle duże, że wyjeżdżały na obozy letnie z rówieśnikami lub z matką na Litwę. Marszałek wolał jeździć sam, w sierpniu lub we wrześniu, do Druskiennik.

Z biegiem lat Józef coraz mniej interesował się żoną. Żyli obok siebie. Piłsudski nie wymagał już nawet od niej, by towarzyszyła mu w oficjalnych uroczystościach, a nawet przy podejmowaniu gości w Belwederze lub Inspektoracie. Coraz bardziej samotna, Aleksandra tym bardziej angażowała się w działalność charytatywną. Od 1926 zasiadała w Kapitulce Orderu Virtuti Militari. Później zajmowała się pozyskiwaniem finansów dla stowarzyszenia Nasz Dom, które prowadziło zakład dla sierot. Współpracowała tam z Januszem Korczakiem i Marią Rogowską - Falską. Organizowała w Warszawie przedszkola i szkoły powszechne dla rodzin wojskowych. W stowarzyszeniu

Osiedle wspierała mieszkańców baraków dla bezdomnych w Warszawie, a w towarzystwie Opieka zakładała świetlice z bibliotekami dla młodzieży. Działała także w Unii Obrońców Ojczyzny, organizacji utrzymującej łączność między kombatantami pierwszej wojny światowej.

Aleksandra zawsze posłusznie stosowała się do wszystkich życzeń męża. Była wyjątkowo posłuszna i uległa. To jednak nie wystarczyło. Czuła, że nie jest już tą jedyną. Bywało bowiem, że „honory domu” pełniła zamiast niej poetka Kazimiera Iłakowiczówna. Wieść gminna niosła, że była nie tylko sekretarką Komendanta...

Cała Warszawa wrzała od plotek, że marszałek ma z nią romans. Urodziła się 6 sierpnia 1892 roku w Wilnie. Była nieślubną córką Barbary Iłakowiczówny i Klemensa Zana (syna Tomasza Zana - „Promienistego”, bliskiego przyjaciela Adama Mickiewicza). Została wcześniej osierocona i wychowywała się u krewnych. Przygarnęła ją Zofia Buyno z Zyberk - Platerów, która stała się swego rodzaju przybraną matką poetki.

W latach 1908 – 1909 studiowała w Oksfordzie, a od 1910 do 1914 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim. Podczas I wojny światowej służyła jako sanitariuszka w armii rosyjskiej. Od 1918 pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W 1926 roku została sekretarką Piłsudskiego. Należała do najwybitniejszych postaci życia literackiego Warszawy w dwudziestolecie międzywojennym. Wyrazista osobowość, żywa inteligencja, siła woli, elegancja, także pewna kapryśność i nieprzewidywalność w kontaktach z ludźmi czyniły z niej osobę fascynującą towarzysko, chociaż trudną we współżyciu.

We wczesnej młodości fascynował ją ruch feministyczny, żywy już w okresie modernizmu. Zawsze jednak, głęboko wierząca, czuła silną więź z duchowością chrześcijańską. Iłakowiczówna miała

rozległy krąg przyjaciół, do których należeli między innymi Witkacy, Julian Tuwim (któremu po śmierci w 1953 roku poświęciła wzruszające wspomnienie Pozgonne Tuwimowi) i Maria Dąbrowska, która porównała w swym Dzienniku Iłakowiczównę do hiszpańskiej karmelitanki i mistyczki, świętej Teresy z Avila. (Teresa Sánchez de Cepeda y Ahumada). Otaczana przez najwybitniejsze osobistości tamtych czasów, była stała bywalczynią warszawskich salonów.

Faktem jest, że Iłła, bo tak ją nazywali przyjaciele, była po uszy zakochana w swoim szefie, czego zresztą nigdy nie kryła. Aby się o tym przekonać, wystarczy przeczytać jakiegokolwiek wywiad poświęcony jej współpracy z marszałkiem czy chociażby zapoznać się z jej książką Ścieżka obok drogi. Kazimiera Iłakowiczówna nigdy jednak nie została kochanką marszałka. Była tylko beznadziejnie i platonicznie w nim zakochana. Piłsudski w ogóle nie był nią zainteresowany, wdał się bowiem w romans ze znacznie młodszą i o wiele atrakcyjniejszą młodą lekarką – Eugenią Lewicką.

Zofia Nałkowska, która też miała chyba nadzieję usidlić Piłsudskiego swymi wdziękami, stwierdziła z rozczarowaniem w *Dziennikach*, że „najprawdopodobniej cały instynkt erotyczny tego człowieka przeniósł się na pole walki politycznej”... Jak wielki wpływ wywierał Marszałek na kobiety, zwłaszcza kiedy znalazł się u szczytu potęgi i władzy, najlepiej świadczy to, co napisała o nim Maria Jehanne Wielopolska: „Nigdy – choć nie znająca uczucia tremy, choć dość ongiś otrzaskana z wielkościami i sławami tego świata – nigdy słowa nie przemówiłam do Marszałka, a na Jego wprost do mnie skierowane zdania odpowiadałam nieprzytomnym bąkaniem. Dławiła za gardło sama jego obecność”.

Paradoksalnie, nową kochankę

mimowolnie wepchnęła w jego ramiona sama Aleksandra Piłsudska. Stało się to latem 1924 roku, w czasie pobytu państwa Piłsudskich w Druskiennikach na Wileńszczyźnie. Któregoś dnia Ziuk poczuł się źle, więc troskliwa małżonka wezwała do niego lekarza. Nie mogła zdawać sobie sprawy, że zamiast lekarza przyjedzie lekarka i że będzie to właśnie piękna pani Eugenia, kierowniczka Zakładu Leczniczego w Druskiennikach. To właśnie ona stała się bohaterką chyba najgłośniejszego romansu Józefa Piłsudskiego. Romansu zakończonego tragedią.

Finansista i współwłaściciel Druskiennik Antoni Jaroszewicz tak ją opisał: „Była blondynką o ładnych, błękitnych oczach. Była niedużego wzrostu i miała zgrabną figurę. Odnaczała się przy tym wyjątkowym urokiem i wdziękiem. Miała bardzo przyjemny timbre głosu i szczególną naturalną i subtelną delikatność w obcowaniu z ludźmi. Zналиśmy ją jako człowieka o wielkiej szlachetności, prawości i uczciwości”.

Eugenia Lewicka urodziła się 10 sierpnia 1896 roku w Czerkasach koło Kamieńca Podolskiego. Była córką Cyryla Longina Lewickiego, dzierżawcy, i Elżbiety z Nicichorskich. Pochodziła z kresowej szlachty polskiej, która z daleka od rodzinnej ziemi kultywowała polskie tradycje. Dobrze знаła język polski i ojczyste dzieje, ale zupełnie nie interesowała się polityką. Jej prawdziwą pasją była nauka.

W 1915 roku podjęła studia w renomowanym Żeńskim Instytucie Medycznym w Kijowie, szybko zyskując miano zdolnej i pracowitej studentki. Współpracowała z polskimi organizacjami samokształceniowymi i oświatowymi (skauting „Polonia”). Po ukończeniu Instytutu, w roku 1921 została asystentką znanego naukowca profesora Fiodora Janowskiego w Klinice Chorób Wewnętrznych w Kijowie. Pracowała tam dwa lata, prowadząc między innymi badania naukowe nad

funkcjonalną diagnostyką chorób nerek oraz sympatonią i wagotonią.

W 1923 roku wyjechała do Warszawy, gdzie wstąpiła na Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Dyplom doktora wszech nauk lekarskich uzyskała 13 czerwca 1925 roku. Podczas studiów w Warszawie pracowała na Oddziale Wewnętrznym Szpitala Żydowskiego pod kierunkiem profesora Edwarda Żebrowskiego, następnie w Klinice Neurologicznej UW, prowadzonej przez profesora Kazimierza Orzechowskiego. Praktykowała też prywatnie. Z namowy profesora Żebrowskiego podjęła się od 1924 roku sezonowej pracy lekarza zdrojowego w Druskiennikach. Specjalizowała się w dziedzinie nowoczesnej medycyny i terapii niekonwencjonalnymi metodami. Wiele czasu poświęcała leczeniu kobiet. Propagowała kurację za pomocą powietrza, słońca, wody i ruchu. Sama także, ze swoimi podopiecznymi, codziennie uprawiała gimnastykę. Dzięki jej inicjatywie, w Druskiennikach powstał zakład przyrodoleczniczy, basen pływacki, dwa boiska i korty tenisowe. Zakład ten stał się pierwszym instytutem tego rodzaju w Polsce, a niektóre inne uzdrowiska wprowadziły metody doktor Lewickiej.

Młoda (młodsza od Józefa o 30 lat), piękna i niebywale inteligentna kobieta zrobiła na starzejącym się marszałku oszałamiające wrażenie. Początkowo, z coraz większą chęcią wracał do Druskiennik, oczywiście już bez żony i dzieci. Często widywano w towarzystwie pięknej pani doktor, rozmawiającego i spacerującego nad Niemnem. Po jakimś czasie, chcąc ją mieć przy sobie, ściągnął Eugenię do Warszawy, gdzie powierzył jej kierownictwo sekretariatu w specjalnie dla niej utworzonym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Załatwił też luksusowy, czteropokojowy apartament przy ulicy Belwederskiej, u podnóża Belwederu. Często bywał tam „na herbatce”. Choć otoczenie Marszałka

robiło wszystko, aby utrzymać sprawę w tajemnicy, o ich romansie wkrótce stało się głośno. Wszystkim rzucało się w oczy, że Piłsudski ostatnio jakoś wyraźnie odmłodził... Aleksandra coraz wyraźniej czuła, że traci męża na rzecz młodszej rywalki.

Niektórzy badacze twierdzą, że Piłsudski zakochał się w pięknej pani doktor. Jakim uczuciem ona obdarzyła Marszałka, trudno dociec. W takich związkach wielką rolę gra prestiż i władza, którą posiada dużo starszy mężczyzna, ale z zachowanych informacji nie wynika aby Eugenia wykorzystywała tę znajomość. Ziuk otworzył jej drogę kariery, ona zaś, dzięki swym kompetencjom, wzorowo wywiązywała się z powierzonych obowiązków.

W 1930 roku Józef Piłsudski mocno podupadł na zdrowiu. Lekarze zalecali mu dłuższy wypoczynek w ciepłych krajach. Wybór padł na portugalską Maderę. 15 grudnia, w towarzystwie Eugenii i doktora Marcina Woyczyńskiego wyjechał do Lizbony, a stamtąd statkiem na wyspę. Adiutant i hagiograf Piłsudskiego, Mieczysław Lepecki opisał szczegółowo wakacje na wyspie, lecz o Eugenii nie wspominał nawet jednym słowem, co było oczywiście świadomym przemilczeniem.

Niespełna miesiąc później Warszawa zatrzęsała się od plotek. Z niewyjaśnionych do dziś przyczyn Eugenia powróciła niespodziewanie do kraju, co jednoznacznie zinterpretowano jako koniec jej związku z Piłsudskim. Mimo, że Lewicka była oficjalny lekarzem Marszałka, a prasa rozpisywała się szczegółowo o jego kuracji, z Belwederu nie przedostała się do prasy najmniejsza informacja. Wszyscy zainteresowani uparcie milczeli na temat powodów wcześniejszego wyjazdu. Wkrótce po przyjeździe do Warszawy, doktor Lewicką odwiedziła osobiście żona jej kochanka. O czym rozmawiały – nie wiadomo, gdyż obie panie zabrały tę

tajemnicę do grobu. Faktem jest, że Eugenia już nigdy więcej nie spotkała się z Piłsudskim.

Kilkadziesiąt lat później wyjazd innego polskiego polityka na Maderę również stał się przyczyną głośnego skandalu. W 2017 roku w Internecie pojawiło się zdjęcie z pokładu samolotu lecącego do Portugalii. Widać na nim było lidera Nowoczesnej Ryszarda Petru i posłankę tej partii Joannę Schmidt. Fotografia wywołała kontrowersje, bo tego samego dnia serwis 300polityka.pl opublikował przeprowadzony wcześniej wywiad, w którym Petru stwierdził, że politykom opozycji nie wypada wyjeżdżać na wypoczynek, dopóki w Sejmie trwa okupacja Sali Plenarnej.

„Ryszard Petru wyjechał na wcześniej zaplanowany wyjazd, natomiast nie miał zaplanowanego dyżuru w Sejmie - tłumaczyła Katarzyna Lubnauer, posłanka Nowoczesnej. - Sytuacja wygląda tak, że mamy protest rotacyjny, na zmianę nasi posłowie dyżurują” Jak zaznaczyła, Petru wyjechał „w sprawach partyjnych”.

„Czy w takim razie koszty wyjazdu zostały pokryte przez partię ?” – padło pytanie. „Nie – odpowiedziała pani Katarzyna. - Wyjazd został opłacony z prywatnych środków. Ryszard Petru jest już z powrotem w Polsce, po dalsze komentarze proszę już dzwonić do niego”.

Dajmy jednak spokój dalszemu roztrząsaniu tej historii. Joanna Schmidt to nie Eugenia Lewicka, a Ryszardowi Petru daleko do Piłsudskiego. Zamach majowy miał miejsce w 1926 roku – a nie w 1935, chłopcy nie chodzą do ginekologa, nasza Konstytucja nie ma 225 lat, imperia nie padają zwykle w szczycie swej chwały, a święto Sześciu Króli i Sejm Głuchy nigdy nie istniały.

Wracając do lat trzydziestych minionego stulecia, to niezależnie od przebiegu owego tajemniczego spotkania, romans Piłsudskiego z Eugenią miał tragiczny

finał. Zaledwie kilka miesięcy po owej rozmowie i niespełna cztery miesiące po powrocie Piłsudskiego z Madery, 27 czerwca 1931 roku doktor Lewicką znaleziono nieprzytomną, leżącą na podłodze w jednym z pomieszczeń Urzędu Wychowania Fizycznego. Bezwzględnie przewieziono ją do Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, gdzie pomimo wysiłków lekarzy zmarła po dwóch dniach nie odzyskawszy przytomności. Pochowana została 2 lipca na Powązkach. Ponieważ zmarła nie miała rodziny, pogrzebem zajęło się państwo. Zasepiony Piłsudski, który w kościele był bardzo rzadko, przybył na uroczystość jako osoba prywatna i po kilku chwilach opuścił kaplicę. W pogrzebie wziął też udział ówczesny premier, Aleksander Prystor. Dla uczczenia pamięci doktor Lewickiej, zakład w Drusienikach został nazwany jej imieniem.

Jako przyczynę zgonu podano zatrucie substancjami chemicznymi nieznanego pochodzenia. Jak łatwo się domyślić – choć jako oficjalną przyczynę zgonu młodej kobiety podano samobójstwo – powszechnie podejrzewano, że została otruta. Rozpętała się prawdziwa burza. Ludzie wygadywali, że doktor Lewicka została zamordowana przez zwolenników Piłsudskiego, którzy w ten sposób chcieli ukrócić jej wpływ na Marszałka. Pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że panna Lewicka była zaręczona z pewnym polskim oficerem, który – jak się okazało - prowadził działalność szpiegowską na rzecz Związku Sowieckiego. Prasa podała jedynie lakoniczną informację, że zmarła była „przyjaciółką rodziny ministra spraw wojskowych”, a nie samego Marszałka.

Wydawało się, że po zakończeniu tego burzliwego romansu Piłsudski doszedł do porozumienia ze swoją żoną. W ostatnich latach swego życia marszałek prawie wszystkie niedziele spędzał z rodziną w Belwederze, a gdy chorował, żona opiekowała się nim w jego

służbowym mieszkaniu. Razem też wyjeżdżali na wypoczynek letni do Pikieliszek. Jedno jest pewne, po tych wydarzeniach Ziuk zaczął się starzeć w błyskawicznym tempie.

Do niedawna badacze sądzili, że Eugenia Lewicka była ostatnią z wybranek serca Marszałka. W 1995 roku jednak, Dom Aukcyjny Unicum w Warszawie wystawił listy Józefa Piłsudskiego pisane do Jadwigi Burhardt w latach 1931 - 1934 (4). Kobieta ta, młodsza od Marszałka o 34 lata, nazywana pieszczotliwie „Dzidzi”, była prawdopodobnie kolejną, ostatnią już miłością jego życia. Poznał ją jeszcze przed wyjazdem na Maderę. Być może więc wiadomość o tym związku zaważyła na tragicznej śmierci Eugenii, porzuconej dla innej kobiety ?

Zachowało się tylko siedem listów, wskazujących jednak, że w czasie obustronnej korespondencji Piłsudski sporządził ich znacznie więcej. Możemy się z nich dowiedzieć, że nie tylko sprawiał on Jadwidze różne prezenty, ale także wspomagał finansowo. (Jadwiga Burhardt nie należała do osób zamożnych, a spędzała czas w znanym i drogim kurorcie na Ukrainie – Truskawcu). W jednym z listów Marszałek napisał:

„(...) w tenże piątek proszę czekać na mnie u siebie około godz. 6 po południu. Ucałowania rącek z przeprosinami łączę”.

W przekazywaniu listów pośredniczył czasem brat Marszałka Jan Piłsudski. Regularne schadzki odbywały się zazwyczaj w mieszkaniu Jadwigi. Romans trwał prawie cztery lata. Piłsudski jednak albo znudził się kochanką, albo nie miał siły kontynuować związku. W ostatnim liście okłamał Jadwigę, pisząc, że wyjeżdża na święta. W rzeczywistości został z rodziną w Belwederze.

Gdy utrzymywała kontakt z Piłsudskim, Jadwiga Burhardt była wdową, nie wiadomo jednak kim był jej mąż. Po wojnie, w napisanym własnoręcznie życiorysie podała:

„Urodziłam się w Wilnie 16 listopada 1901 r. Ojciec Adam Kurowski, matka Urszula z Błażewiczów. Skończyłam 5 klas szkoły średniej ros. w Wilnie oraz 3 lata kurs. maturalnych w Wilnie. 1919 r. 6 m. kurs PCK i w 1920 r. pracowałam w obronie Warszawy, w Centralnej Składnicy i Szpitalu Polowym. W roku 1925 wyszłam za mąż i w 1927 owdowiałam. W 1927 roku zaczęłam pracować w Lidze Morskiej i Rzecznej 2 lata w charakterze sekretarki. W roku 1930 przyjechałam do Warszawy i objęłam pracę w charakterze pielęgniarki. W roku 1932 otrzymałam pracę w Państwowych Zakładach Zbożowych Dyr. w charakterze urzędniczki do roku 1938. Po zlikwidowaniu Zakł. Zbożowych pracowałam w Dyr. Okręgowej PKP w Radomiu. W roku 1939 otrzymałam kartę mobilizacyjną i brałam czynny udział w obronie Warszawy. Kilkakrotnie byłam ranna i otrzymałam rentę inwalidzką, przez czas okupacji pobierałam rentę. W roku 1945 Dyr. PKP przyszła mi z pomocą, wydzierżawiając bufet kolejowy w Radomsku, który prowadziłam nienagannie 6 lat. Po zabraniu bufetu przez KZG znalazłam się bez środków do życia, pobierając renty 160 zł, nie mogłam się utrzymać. W 1954 roku otrzymałam pracę kierowniczką stołówki OZP przy MPK w Warszawie. Po otrzymaniu podwyższenia renty nie pracuję nigdzie. Jednakże 650 zł renty nie daje możliwości utrzymania się przy najskromniejszym życiu i zmuszona jestem wrócić do pracy zawodowej”.

Ostatnia kartka z ich korespondencji datowana jest na pół roku przed śmiercią Józefa Piłsudskiego, na dzień 19 grudnia 1934 roku. Piłsudski pisał w niej, że wyjeżdża na Święta. Tymczasem wiadomo, że Boże Narodzenie spędził z rodziną w Belwederze. Z jakichś zatem powodów okłamał Jadwigę. Być może

czuł się już znudzony tym związkiem, a do tego zmęczony i schorowany.

Istnieje jednak wiele kontrowersji co do zachowanych listów. Profesor Andrzej Ajnenkiel podważa ich wiarygodność, przypisując je Janowi Piłsudskiemu, bratu Marszałka. Natomiast profesor Andrzej Garlicki uznaje te dokumenty za autentyczne. Wśród historyków spór pozostaje więc nierozstrzygnięty. Co więcej, wyjaśnieniu tej zagadki nie sprzyja fakt, że nie zachowała się korespondencja samej Jadwigi do Piłsudskiego, prawdopodobnie zniszczone przez samego Marszałka, aby nie mogły być wykorzystane przez jego przeciwników politycznych.

Jak by nie było, związek (?) zakończyła śmierć Marszałka. Zmarł w Belwederze 12 maja 1935 roku, w dziewiątą rocznicę zamachu majowego. W chwili śmierci byli przy nim ksiądz Władysław Korniłowicz, który udzielił umierającemu ostatniego namaszczenia oraz ppłk dr Stefan Mozołowski, który sporządził akt zgonu. Pogrzeb Józefa Piłsudskiego stał się wielką manifestacją jedności narodowej.

Jego ciało złożono na Wawelu, początkowo w krypcie św. Leonarda, potem w specjalnie na ten cel przygotowanej krypcie pod wieżą Srebrnych Dzwonów. W pierwszą rocznicę śmierci Marszałka, zgodnie z jego ostatnią wolą, ekshumowano ciało jego matki, Marii z Billewiczów. Urnę z sercem Piłsudskiego oraz trumnę z prochami Marii Piłsudskiej złożono na cmentarzu wileńskim na Rossie. Na czarnej granitowej płycie widnieje napis: „Matka i serce syna”.

Po śmierci męża Aleksandra Piłsudska nie ogrywała już żadnej roli politycznej. Była współredaktorką dwu tomów wspomnień uczestniczek walk o niepodległość (*Wierna służba* 1927 r. i *Służba ojczyźnie* 1929 r.). Za

honorarium z wydania *Pism zbiorowych* Piłsudskiego nabyła majątek Kamienny Dwór w Białostockiem. Gdy w czerwcu 1938 roku otwarto I Kongres Pracy Społeczno - Obywatelskiej Kobiet, z udziałem 40 organizacji kobiecych z całej Polski, Aleksandra została jego przewodniczącą. Do 1939 roku pełniła też funkcję przewodniczącej głównej komisji rewizyjnej obywatelskiego Komitetu Akcji Pomocy Zimowej.

Po wybuchu II wojny światowej Aleksandra Piłsudska wraz z córkami ewakuowała się do Wilna, dalej do Kowna na Litwie, a następnie, po rozpoczęciu okupacji Wilna przez Sowietów, do Rygi. Stamtąd odleciała rejsowym samolotem szwedzko - sowieckiego towarzystwa lotniczego do Szwecji, a następnie samolotem specjalnym do Londynu.

W brytyjskiej stolicy mieszkała aż do śmierci, która przyszła po nią 31 marca 1963 roku. Pochowano ją na cmentarzu North Sheen. W 1992 roku prochy Aleksandry Piłsudskiej powróciły do kraju i spoczęły w rodzinnym grobowcu na warszawskich Powązkach.

Kazimiera Hłakowiczówna natomiast, wróciła po zgonie szefa do pracy w MSZ. W latach 1936 - 1938 odbyła tournée po Europie z wykładem o marszałku Piłsudskim. W 1939 ewakuowała się do Rumunii, gdzie spędziła wojnę. W 1947 wróciła do Polski. Pozbawiona pracy etatowej (tłdziła się, że w nowym systemie politycznym odzyska jednak posadę w ministerstwie), osiadła w Poznaniu, zajmując się przekładami literatury europejskiej i nauczaniem języka angielskiego. Bacznie śledziła życie polityczne kraju. Po krwawo stłumionym przez komunistyczne władze strajku generalnym i demonstracjach ulicznych w czerwcu 1956 roku, w których ginęli polscy robotnicy, napisała wiersz *Rozstrzelano moje serce* w

Niepodległość polityczna a niezależność w gospodarce globalnej

Niepodległość polityczna oznacza, że dany kraj decyduje swoich sprawach samodzielnie, to znaczy bez kontroli i nadzoru ze strony innego państwa czy grupy państw. Warto jednak zastanowić się nad kwestią niezależności w gospodarce globalnej. Przede wszystkim co oznacza niezależność gospodarczą? Obecnie żaden kraj na świecie nie jest autarkiczny, czyli całkowicie odcięty od światowej gospodarki i bazujący tylko na własnych zasobach. Takie odcięcie się od świata prowadziłoby do zacofania gospodarczego. Nawet w czasach starożytnych rozwijano handel międzynarodowy, czego przykładem może być „bursztynowy szlak” wiodący z dawnego Cesarstwa Rzymskiego nad Bałtyk, czyli do terenów dzisiejszej Polski. Właśnie dlatego handel międzynarodowy uznawany jest za pierwszą formę globalizacji.

W obecnym świecie obserwujemy nie tylko szybki wzrost obrotów handlu międzynarodowego, ale także przepływów kapitałowych, zatem gospodarki poszczególnych państw są coraz bardziej powiązane wzajemnie. Dlatego międzynarodowa współzależność gospodarcza jest faktem w dzisiejszych czasach. Niezależność w gospodarce światowej oznacza dzisiaj nie izolację, ale silną pozycję gospodarczą danego kraju. Ważne jest posiadanie nowoczesnej konkurencyjnej gospodarki, dzięki której uzyskamy dodatnie saldo w handlu zagranicznym, czyli będziemy więcej eksportować (czyli sprzedawać za granicę) niż importować (czyli kupować z zagranicy). W okresie transformacji z gospodarki centralnie planowanej do rynkowej, modne stały się slogany o nieistotnej roli salda handlu zagranicznego. Jednak ujemne saldo oznaczało wzrost zadłużenia zagranicznego, czyli zmniejszało

niezależność gospodarczą Polski. Na szczęście obecnie to podejście należy już do przeszłości. Obecnie wiele krajów zwraca uwagę na saldo swojego handlu zagranicznego. Widać to zwłaszcza w USA, które od czasów prezydentury Donalda Trumpa wdały się w wojnę handlową z Unią Europejską, Chinami i innymi państwami w celu poprawy bardzo niekorzystnego amerykańskiego salda handlu zagranicznego. Oczywiście lepiej jest jeśli dany kraj poprawia swoje saldo handlu zagranicznego poprzez wzrost konkurencyjności własnej gospodarki a nie poprzez toczenie wojen handlowych, które zawsze kończą się posunięciami odwetowymi ze strony innych państw.

Dr hab. Dariusz Eligiusz Staszczak

Medal na 100-lecie odzyskania Niepodległości



Powyżej przedstawiamy awers i rewers medalu z okazji 100-lecia Niepodległości Polski, zatwierdzony przez Prezydenta RP.

Strona 21

Nasz drogi wódz (dokończenie)

Poznaniu. W ostatnich latach życia, po nieudanej operacji jaskry, była ociemniała. Zmarła w Poznaniu 16 lutego 1983 roku.

Przemysław Słowiński

Przypisy:

(1) W tym samym procesie został skazany na śmierć starszy brat Włodzimierza Lenina, Aleksander Uljanow.

(2) Po roku wspólnego życia i mieszkania pod jednym dachem, Lewandowska zakończyła odbywanie kary na Syberii i zdecydowała się na powrót do kraju.

(3) Akcja pod Bezdanami, niedaleko Wilna – przeprowadzony 26 września 1908 r. przez Organizację Bojową PPS, dowodzoną przez Józefa Piłsudskiego napad na rosyjski pociąg pocztowy, przewożący pieniądze z Kongresówki do Sankt Petersburga. Na stojący na stacji wagon pocztowy bojowcy rzucili 2 bomby, obezwładnili obsługę stacji, telefonu i telegrafu. Podczas akcji zabito i raniono kilku rosyjskich żołnierzy i pracowników pocztowych. Bojowcy nie ponieśli strat, zdobyto (dokładnie) 200 812 rubli i 61 kopiejek. Pieniądze zostały przeznaczone na powstały w Galicji Związek Walki Czynnej, posłużyły też do spłaty długów organizacji oraz wsparcia uwięzionych towarzyszy i ich rodzin. Część trafiła do skarbu wojskowego, który posłużył później do utworzenia organizacji strzeleckich.

(4) Ostatecznie listy kupiła Biblioteka Narodowa.

Chaplin w filmie niemym miał największe powodzenie. Żaden mim w chwili powstania filmu dźwiękowego już tego osiągnąć nie potrafił. Nie wyłączając jego. Powód był jasny. Film miał dostarczyć rozrywki. Mimika była tu najlepszym środkiem wyrazu. Słowo ją niejako zagłuszało i czar prysł. Podobnie jest dzisiaj z filmem komediowym. Obecnie trudno o coś dobrego w tej branży, gdyż w gruncie rzeczy, komedia ma bawić, a najczęściej każe się jej wykonać jeszcze dodatkowe zadania. Nierzadko jest narzędziem w przemyśleniu czegoś przeciw komuś, lub w implantowaniu jakiejś wartości czy antywartości. Komedia chaplinowska odsłaniała słabości ludzkie, coś porównywalnego z perypetiami dnia powszedniego, ale trudnego do zauważenia. Wymagało przejawienia. Dlatego to, co robił Chaplin na scenie, czy bracia Marks, było po prostu zabawne.

A cóż robić dziś, kiedy film nie jest zabawny, ale ma jakieś przesłanie, co pozwala nadawać mu rangę sztuki przez duże „S”, a nawet fabrykować mniej lub bardziej „jadalną” ideologię, ferować anatemy, tworzyć coś w rodzaju antydekalogu, a co najważniejsze wynosić na piedestał lub rzucać w przepaść ludzi. Bo, trzeba to koniecznie odnotować, że Film, teatr są o ludziach. Podobnie, jak armatohaubica jest przeciw człowiekowi, a nie przeciwko jakiejś chałupie, którą burzy.

To, co niżej napiszę jest bardzo osobiste, bo nie chodzi mi o to, co ktoś ogląda, czym się wprawia w nastrój, co przyjmuje jako źródło swej wiary lub wiedzy. To jest bardzo osobiste, de *gustibus non est disputandum*. Toteż nie twierdzę, że żaden chrześcijanin nie powinien oglądać filmu Kler. Jaki to film jest, jaki poziom sztuki, jakie przesłanie, w czym interesie się

pojawiał, przecież to każdy wie, nie musząc wcale tego oglądać. Dodać tu wypada, że film przedstawia metodą *pars pro toto* pewną kategorię osób, z którymi wiążą się określone wartości i zadania. Film w postaci zbeletryzowanej prezentuje odpowiednio ucharakteryzowanych aktorów, którzy mają stworzyć obraz duchowieństwa katolickiego w Polsce. Ale prawdziwy jego obraz jest jednak zgoła inny. I tu właśnie leży ten przysłowiowy pies pogrzebany. O to twórcom filmu chodziło, żeby obraz ten możliwie najbardziej zdeformować. Dobór aktorów nie jest też przypadkowy, nie może zresztą być. Janusza Gajosa widziałem w kilku filmach i, przyznając, podziwiałem. Jego udział w *Czterech pancernych* można było uznać za „grzech młodości”. Ale wypowiedź w wywiadzie z Moniką Olejnik, z której wynika, że obecna Polska nie podoba mu się najbardziej, gdyż rozlicza ona złodziei, którzy tak wiele nakradli dobra publicznego, to już coś, co w dużej mierze każe rozumieć jego rolę w *Klerze*. Ta rola wszakże czyni go po prostu śmiesznym, ale to wcale nie w sensie komediowym. Śmieszność ta wynika z prezentowania przez aktora karykatury nie przystającej do rzeczywistości. A, jak wiadomo, karykatura jest przedstawieniem kogoś lub czegoś z przesadnym akcentowaniem pewnych właściwości tych obiektów. Zazwyczaj chodzi tu o ośmieszenie człowieka lub zjawiska. W przypadku ról w filmie Kler chodzi o coś znacznie więcej, o dyfamację całego duchowieństwa i to przez ludzi, którzy Kościoła nawet od zewnątrz nie znają. To też wynika z wywiadu Gajosa z inną dziennikarką. Oczywiście mogą tylko powiedzieć coś na ten temat z lektury, sporej, przyznam, na temat tego filmu, gdyż oglądać go nie mam zamiaru. Z kilku zresztą względów. Najpierw, nie poszedłbym na film, nawet najbardziej

reklamowany, który by w taki sposób postponował moją matkę, nawet, jeśli miałaby ona rzeczywiście spore braki. Po prostu tego się nie robi, jeśli człowiek chce zachować twarz. To takim czymś właśnie było w czasie okupacji pójście na film gadzinowy, wyszydzający Polaków, nawet niechby w osobach kilku pijaczków. A następnie, powód, dla którego nie obejrzę tego filmu jest ten sam co nie obejrzenie żadnego filmu fabularnego o Janie Pawle II, o Prymasie Wyszyńskim, o Księdzu Popiełuszcze itp. Wszystkie te filmy, niezależnie od ich zamysłu, są głęboko nieprawdziwe. Deformują postaci, które się znało. Nawet, jeśli ma to być in plus tych osób. Podobnie nie lubię filmów fabularnych przedstawiających wojnę. Nawet największy realizm w ich wykonaniu nie oddaje jej tragizmu, co najwyżej może pobudzać ludzi o skłonnościach sadystycznych. Niektóre filmy do dziś z powodzeniem eksploatowane są wprost głupie, tak mocno wprasowano je w gorset propagandowy. Wymienię: *Czterej pancerni i pies* (dodam: ze świetnymi aktorami, ale nawet im nie udało się niczego naprawić), dalej, kiczowata *Stawka większa niż życie*, *17 mgnień wiosny*. Jeśli Niemcy mieliby być tak głupi i niedołążni, jak filmy te pokazują, to dlaczego zawojowali kilkadziesiąt milionów kilometrów kwadratowych? Można zapytywać czy takie filmy są szkodliwe? W pewnym sensie tak, gdyż przedstawiają one wojnę jako przygodę, a młodych to bierze.

Wracając do filmu *Kler* kwalifikacja jest inna. On w zamysłu ma być szkodliwy i z całą oczywistością jest jednym z uderzeń w Kościół.

Dokończenie na stronie 23



Wojciech Korfanty

Polskiego, który trwał jeszcze prawie 4 lata. Najważniejszym wyzwaniem była oczywiście wojna polsko-ukraińska oraz polsko-bolszewicka na wschodzie. Zwycięstwo w tych wojnach uratowało nie tylko świeżą państwowość polską ale również całą ówczesną Europę przed inwazją zbrodniczego systemu bolszewicko-komunistycznego. Najdłuższa z polskich granic—granica wschodnia—stanowiła bowiem największe zagrożenie dla Polski. Od razu po kapitulacji państw centralnych w listopadzie 1918 roku, wycofująca się z Ukrainy armia austriacka, pozostawiła w rękach nacjonalistów ukraińskich wiele uzbrojenia, co spowodowało wojnę polsko-ukraińską w Galicji wschodniej. Jednocześnie rozpoczęło się zajmowanie ziem wschodnich odrodzonej Rzeczypospolitej przez oddziały polskie z zachodu oraz przez żywioł bolszewicki, posuwający się ze wschodu pod hasłami zniszczenia Polski i wzniesienia rewolucji w Europie. Jeśli do tego dodać toczone między bolszewikami walki z tzw. białogwardyjskimi oddziałami wojskowymi Rosji, obraz strasznego galimatiasu na Wschodzie będzie wyraźniejszy.

Nie dziwnego, że sprawa polskiej granicy wschodniej stała się dla całej Rzeczypospolitej sprawą pierwszoplanową. Pod wodzą marszałka Piłsudskiego zjednoczyła ona wszystkie obozy polityczne oraz wojskowych dowódców niezależnie od ich przekonań. Chodziło o być lub nie być Polski.

Przybyła w granice Państwa Polskiego „Błękitna Armia” gen. Józefa Hallera szybko—jeszcze w roku 1919—uporała się z zagrożeniem ukraińskim, zaś Edward Rydz-Śmigły zajął 3 stycznia 1920 roku historycznie polską twierdzę Dyneburg na Łotwie, wchodząc w pierwszy kontakt bojowy z nacierającymi na wschód bolszewikami. Jednocześnie mianowany Naczelnikiem Państwa Polskiego i awansowany do stopnia marszałka Józef Piłsudski, po zawarciu układu z ukraińskim atamanem Semenem Petlurą, wkroczył w maju do Kijowa.

Na całym froncie wschodnim nastąpiło ostre starcie z bolszewicką nawałą, które spowodowało konieczność skrócenia frontu i odwrót wojsk polskich. W zażartych walkach bolszewicy podeszli pod Warszawę, gdzie rozegrała się jedna z najważniejszych bitew w historii Europy, zakończona klęską armii bolszewickiej. To jednak już dalszy, obszerny temat.

Zaprezentowanie niejako „w pigułce” wydarzeń następnych lat jest tutaj niezwykle istotnym dla zrozumienia sytuacji, w jakiej znalazła się już 11 listopada odrodzona Polska.

Zresztą warto pamiętać, że i samo odzyskanie przez Polskę niepodległości nie zostało ustalone przez wiele lat. W zależności od politycznych opcji preferowano te lub inne daty. Rzeczą ciekawą jest, że nawet zwolennicy Józefa Piłsudskiego wyznaczili na datę Święta Niepodległości w 1920 roku dzień 14 listopada, wiążąc obchody tego święta z uroczystościami wręczenia mu buławy marszałkowskiej w Warszawie. Ostatecznie, dopiero w 1937 roku Sejm RP uchwalił dzień 11 listopada, a więc datę przekazania Józefowi Piłsudskiemu władzy zwierzchniej

Film, jako źródło wiedzy o świecie

(dokończenie)

Ateistyczne koła światowe nie kryją swego zamiaru zadania Kościołowi śmiertelnego ciosu. Czynią to per fas et ne fas. Katolik musi zdawać sobie sprawę, że popierając to, stawia się, jeśli nie formalnie, to faktycznie poza Kościołem. Kościół jest społecznością wiernych, a więc ludzi, a więc grzeszących. Jest po to, by ich z tych grzechów dźwigać. Źle jest, kiedy duchowni grzeszą, ale i oni nie otrzymali żadnego immunitetu. I oni wymagają szczególnego wsparcia, tak jak każdy. Bo istotą miłosierdzia będącego głównym narzędziem ekonomii Bożej jest nieustanne dźwiganie przez każdego człowieka swego krzyża. Św. Paweł pisał: „Jeden drugiego brzemiona noście i tak wypełniajcie prawo Chrystusowe. Bo kto uważa, że jest czymś, gdy jest niczym, ten zwodzi samego siebie. Niech każdy bada własne postępowanie, a wtedy powód do chluby znajdzie tylko w sobie samym, a nie w zestawieniu siebie z drugim. Każdy bowiem poniesie własny ciężar”. Gal. 6,2-5.

W tym zdaniu jest wszystko, co winien człowiek wiedzieć zanim rzuci kamień na drugiego. Obojętnie czy to jest człowiek, czy jak to jest w przypadku Kleru, Kościół. Trzeba ufać, że kamienie te nie sięgną ponad wierzchołek wierzy kościelnej, nawet jeśli wśród miotających będą ci, którzy nazywają sami siebie jego wiernymi.

Zygmunt Zieliński

Dokończenie na stronie 24

Dei providentia, populi constantia, Polonia restituta...

W setną rocznicę Niepodległości Polski (dokończenie)



Gen. Józef Haller (fot. archiwum)

nad wojskiem polskim przez Radę Regencyjną, jako oficjalny dzień obchodów odzyskania niepodległości przez Polskę, ustanawiając ten dzień oficjalnym świętem państwowym.

Święto Niepodległości to nie tylko uczczenie kolejnej rocznicy deklaracji niepodległości czy stworzenia naczelnego dowództwa armii polskiej. To przede wszystkim dzień hołdu i pamięci dla wielkiego, łączącego wszystkich Polaków, patriotyzmu. Patriotyzmu, wznoszącego się nad polityczne podziały i różnice. Dali mu przykład najwybitniejsi przywódcy polityczni i wojskowi. Ich wieloletnia praca narodowa u podstaw wydała swoje owoce w 1918 roku, a ich wielkość polegała na wspólnocie wysiłków dla jednego celu, jakiemu na imię: Polska.

Stanisław Matejczuk

„A gdzie mój legionista ?”

Takie słowa padły z ust Jana Pawła II, które wypowiedział w bazylice Mariackiej w Krakowie podczas pielgrzymki do Ojczyzny w 1983 roku. Papież powiedział je, gdy zorientował się, że przy poczcie sztandarowym Związku Legionistów Polskich nie ma porucznika Stanisława Leszczyc-Przywary z Rydułtów. Z powodów zdrowotnych niestety nie mógł wówczas przybyć, by papieżowi-Polakowi złożyć hołd razem z polskimi żołnierzami kombatanami, tak jak to miało miejsce w Częstochowie podczas I pielgrzymki w 1979 roku. Przypadająca obecnie setna rocznica wywalczenia niepodległości przez Naród Polski to idealna okazja by przypomnieć postać jednego z **legionistów**, czyli żołnierza - polskiego ochotnika urodzonego w czasach zaborów. Ponad wiek temu wyruszył na wojnę by walczyć o wolność dla zniewolonej Polski. Walczył o wolność i niepodległość wielokrotnie z Rosjanami, Niemcami, Ukraińcami i na koniec z UBekami. Nie chcę by to pisemne wspomnienie o nim było jakimś panegirkiem z przesadnym zachwytem, ale też nie wypada podać samych suchych faktów biograficznych. Jedno i drugie mogłoby zniechęcić do przeczytania artykułu, a moim celem jest nie tylko pokazanie nieprzeciętnego świadectwa, ale także przy okazji wywołanie refleksji o prawdziwych wartościach, którymi warto w życiu się kierować i to bez względu na cenę. Nigdy za wiele chwil, by zastanowić się „po co i jak” powinniśmy żyć. Dlatego decyduję się więc na bardzo osobiste wyznania z mojej pamięci, by uniknąć jakiegoś banalnego opisu. Piszę wspomnienie kierując się sentencją Józefa Mackiewicza, iż „tylko prawda jest ciekawa”. Jestem taką szczerość winny mojemu ‘legioniście’, kochanemu Wujkowi z Rydułtów.

Minęło już ponad 30 lat od Jego śmierci. Nie pozostało po nim wiele pamiątek. „*Walczył o Polskę i żył dla Polski / oficer II Brygady Legionów*” – takie słowa zostały uwiecznione na jego nagrobku, który znajduje się tuż przy głównym wejściu na cmentarzu w Rydułtówach. To właściwie wszystko, co dzisiaj można



**Prof. Stanisław Leszczyc-Przywara
(fot. archiwum)**

zobaczyć o nim w mieście, w którym spędził drugą połowę życia, prawie 40 lat i był postacią symboliczną dla tego miasta, choć to można zobaczyć dopiero teraz, z perspektywy lat. Stanisław Leszczyc-Przywara niewątpliwie zasłużył na pamięć w postaci nazwy jakiejś ulicy czy nawet pomnika w Rydułtówach. Żył tam w czasach PRLu, więc wówczas nie miał szans zostać honorowym obywatelem miasta z nominacji komunistów, bo właściwie to im przeszkadzał swoim istnieniem, prawdziwie symbolicznym. Nie dbał o jakiegokolwiek pochwały czy zaszczyty, był wyjątkowo skromnym, ale serdecznym człowiekiem. Dla wielu młodych ludzi z kilku pokoleń Polaków był nauczycielem prawdziwego życia i wzorem patriotyzmu złączonego z całkowitym zawierzeniem Opatrzności Bożej. Nie zależało mu na jakimś kombatanckim lansowaniu się w żaden sposób. Nawet nie chciał nawet słyszeć o

Ciąg dalszy na stronie 25

„A gdzie mój legionista ?”

(ciąg dalszy ze strony 24)

Strona 25

jakichś awansach dla zasłużonych, był i pozostał do końca życia jako porucznik czasu wojny (ostatnio zwłaszcza jakoś modne jest hurtowe honorowanie stopniami generalskimi czy wprost przesadne pośmiertne upamiętnianie orderami, czego nie rozumiem).

Stanisław Leszczyć-Przywara walczył w 4 baonie 2ppLegionów pod dowództwem sławnego kpt. Roi (późniejszego gen dywizji) oraz ppłk Józefa Hallera (późniejszego gen. broni i Naczelnego Dowódcę wszystkich Wojsk Polskich). Wziął udział w pierwszej historycznej wielkiej bitwie odradzającego się Wojska Polskiego w dniu 29 października 1914 pod Mołotkowem (dzisiejsza Ukraina) przeciwko oddziałom rosyjskim. Niestety była ona „bardzo krwawa i przegrana, gdzie stoczono zacięty bój z przeciwnikiem dysponującym dwukrotną przewagą w ludziach i trzykrotną w sile ognia. Niektóre kompanie straciły aż do 50% stanu bojowego”. Młody wówczas szeregowy Stanisław Przywara pierwszy raz otarł się o śmierć. Jego „4 batalion 2 ppLeg dotarł w walkach do centrum Mołotkowa, gdzie został zatrzymany i zmuszony do odwrotu. Oddziały 2 i 3 ppLeg, w sile ok. 6 tys żołnierzy, bez

broni maszynowej, walczyły z przeważającymi siłami Rosjan - 12 batalionów piechoty (ok. 15 tys żołnierzy), wspierane przez 16 dział i 24 karabiny maszynowe. Rosjanie przedarli się na tyły legionistów, zagrażając ich okrążeniem. Po wycofaniu się i przeprawie przez Bystrycę, legionści zajęli pozycje w Pasiecznej i pod Zieloną. Polacy stracili w walkach poległych ok. 200 legionistów i ok. 300 rannych. 400 dostało się do niewoli. Rosjanie stracili ok. 100 zabitych, kilkuset rannych i jeńców. Polacy zostali częściowo rozproszeni i ci którzy zdolali uniknąć niewoli, wracali jeszcze przez kilka dni do swoich pododdziałów”.

Tamte wydarzenia wywarły olbrzymi wpływ na Jego podejście do życia i wiary. Jak sam później pisał w 1977 roku, dziękował „za wieloletnią wyraźną opiekę Matki Najświętszej od bitwy pod Mołotkowem poczynając, aż po dzień dzisiejszy”. Był też Jej prawdziwym czcicielem do końca życia. Przeszedł wykańczający zdrowie karpacki szlak bojowy w II Brygadzie Legionów, był też ranny, doszła choroba serca. Walczył też w obronie Lwowa w 1918 roku pod dowództwem późniejszego generała Boruty-Spiechowicza, z którym się przyjaźnił do końca życia.

Był „klasycznym” legionistą, czyli „człowiekiem renesansu” – z wieloma talentami. Do Legionów stawiała się wówczas w 1914 roku prawdziwa elita narodu, również elita młodzieży polskiej. Oprócz zdobytych wojennych doświadczeń w obu wojnach światowych, został po I w.św. absolwentem UJ z filologii polskiej oraz historii sztuki. Znał biegle 7 języków obcych (francuski, niemiecki, greka, łacina, rosyjski, słowacki i węgierski), malował obrazy, kolekcjonował polonika, był inicjatorem oraz organizatorem wielu wydarzeń patriotyczno-religijnych. Przez większość życia był przede wszystkim wychowawcą licznej młodzieży, choć w PRLu nie dane mu było nauczać w szkołach. W komunistycznym systemie szkolnym Ubecy zezwolili jedynie na lekcje rysunku na w latach 50-tych.

Dla mnie oraz dla Staszka Matejczuka był po prostu „Wujkiem”, choć nie były to więzy krwi, tylko przyjaźń naszych rodzin. Kika lat temu zaczęliśmy na poważnie ze Staszkiem myśleć o jakiejś formie upamiętnienia Wujka, choćby w powstającym Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Przez tą Jego skromność życia powstał duży problem przy pisaniu o nim wspomnień. Zrobiliśmy bilans pamiątek jakie mamy oraz szukaliśmy wspomnień u znajomych, w książkach, klasztorach czy mediach i odbyliśmy kilka ważnych spotkań. Efekt stosunkowo skromny, nie mieliśmy szczęścia. Liczymy, że to nie koniec poszukiwań, że nie wszystko przypadło, że uda się jakoś dotrzeć do zamkniętych „archo”. Dotychczas o Wujku nie natrafiono na żadne informacje w IPN. Wystąpiła też jakaś niepojęta wprost trudność (od dwóch lat) w otrzymaniu choćby skanów pamiątek od O.Dominikanów z Krakowa. A właśnie kapelan „Żołnierzy Wolności” O. Adam Studziński, który był przyjacielem Wujka, miał być realizatorem jego testamentu. O.Studziński to bezdyskusyjnie wybitna postać o



Stanisław Leszczyć-Przywara po złożeniu raportu Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi Wielkiemu na temat stanu żyjących ówczesznie legionistów podczas pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny w 1979 roku na Jasnej Górze (fot. archiwum)

Ciąg dalszy na stronie 26

wielkich osiągnięciach dla Kościoła i Polski. Niestety okazał się ignorantem odnośnie pamiątek historycznych, zresztą nie tylko jego tak mogę podsumować, Dominikanie mają takich przypadków więcej. Wujek zmarł w 1985 roku. Jego skromne mieszkanie w Rydułtowach, na piętrze - nad apteką, przy ul. Benedykta 2, to było prawdziwe muzeum polskiej historii - małe, ale z prawdziwą duszą. Miał mnóstwo różnych kolekcji medali, znaczków, kartek, książek, obrazów, listów i różnych wprost perełek, skarbów. Z pamiątek legionowych pamiętam wiszącą przy wejściu do mieszkania maskę pośmiertną Marszałka Piłsudskiego (zrobiono 6 sztuk). W czasach PRLu większość jego pamiątek to podpadało „z klucza „ jako niewłaściwie ideologicznie, nie było przecież muzeum Piłsudskiego czy Armii Krajowej. Gromadził te pamiątki kosztem wyrzeczeń, ale wiedział, jak ważne one będą dla przyszłych pokoleń. Ustaliłem ze Staszkiem, że O.Studziński jednak testamentu Wujka nie wykonał – czyżby go nie znalazł ? Mamy wątpliwości. Dokumenty osobiste polecił spalić (w tym bezcenne listy), część rozdał historykom i Związkowi Legionistów Polskich w Krakowie (obecne Muzeum Czynu Niepodległościowego), część do Dominikańskiego archiwum, reszta nie wiadomo gdzie się rozplynęła. Po monitach i prośbach Staszka Matejczuka, by ojcowie odszukali pamiątki po Wujku - okazało się, że coś jest ! Mało tego, przynajmniej dzięki naszej akcji zeszli w 2016 roku do podziemnych archiwów z jakimś historykiem i rozpoczęli porządki, a prośby Staszka były, jak przyznali ojcowie, siłą sprawczą do odkrycia zapomnianych skarbów; media podały:

„W czasie inwentaryzacji podziemi krakowskiego klasztoru dominikanów znaleziono bezcenny skarb: rzymskie pierścienie wykonane ze złota i drogocennych kamieni, zausznicie i srebrną szpilę. Prawdziwe poruszenie wśród historyków wywołały jednak złote okucia, które były prawdopodobnie częścią berła. Specjaliści podejrzewają, że chodzi o berło Zygmunta I Starego! Wskazuje na to jednoczesna obecność herbów Polski i

Litwy oraz łaciński napis "Zygmunt Pierwszy z Bożej łaski król Polski". Nie wiadomo, w jaki sposób drogie przedmioty znalazły się w klasztorze, jednak podejrzewa się, że umieścił je tam zmarły w 2008 roku ks. Adam Studziński, który zajmował się skarbcem. Jak podkreśliła Karolina Nowak, historyk biorąca udział w inwentaryzacji klasztoru, znalezisko jest wyjątkowe z jeszcze jednego powodu. Chodzi o fakt, że Polskie insygnia koronacyjne zostały przetopione przez Prusaków. Spośród symboli władzy zostały nam jedynie jabłko królewskie oraz Szczербіec (miecz koronacyjny). Wszystkie znaleziska zostaną teraz gruntownie przebadane, a następnie włączone do zbiorów muzealnych. Być może odkrycie przyspieszy powstanie muzeum dominikanów, o które od dawna starają się krakowscy historycy”.

Ja z kolei byłem w zeszłym roku w Rydułtowach. Zachowały się namalowane przez niego religijne obrazy w kościele parafialnym pw. Św.Jerzego. Do dzisiaj po obu stronach głównego ołtarza są w nawach dwa obrazy pędzla Wujka :z wizerunkami Jezusa wg św. Faustyny „Jezu ufam Tobie” oraz Matki Boskiej Fatimskiej. Ponadto w zakrystii wisi też obraz z wizerunkiem św.Rity. Rozmawiałem z ks. Sodzawicznym (proboszczem w parafii św. Jerzego w latach 1975-2003; zmarł kilka miesięcy temu) oraz panem Jerzym Bindaczem, którzy opowiedzieli mi wiele ważnych szczegółów o Wujku, za co im jestem wdzięczny.

W tych gierkowskich latach najważniejsze dla nas, młodych wówczas chłopaków było to, jak nas traktował: jak kochający wujek, a jednocześnie wspaniały nauczyciel. Sam był patriotycznie wychowanym Polakiem ze zubożałej szlachty herbu Leszczyc. Będąc gimnazjalistą w zaborze austriackim uciekł z domu do oficjalnie stworzonego i wymarzonego pierwszego od stu lat polskiego wojska, do Legionów, by walczyć i wywalczyć wolność dla nieistniejącej wówczas

Polski. To dzięki takiej świadomej decyzji Wujka i jego odważnej postawie oraz odwadze wielu młodych patriotów z jego pokolenia Polska mogła zostać wskrzeszona z niebytu politycznego. Męczyliśmy go, by nam opowiadał o historii Polski, o jego przeżyciach i losach. Był dla nas autorytetem, ale chyba nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę, jakim wielkim jednocześnie był symbolem tego co jest istotą polskości. Młodzieńcze lata przeżyliśmy podobnie jak on w zniewolonej przez sąsiadów Polsce, z tą różnicą, że Wujek przeżył je na samym początku wieku - a my już pod koniec tego okrutnego XX wieku. Pytałem go czy było podobnie pod zaborem austriackim, tak jak teraz pod komunistycznym/ sowieckim? Jak była wówczas polska młodzież, czym różniła się od tej obecnej? itp. Odniosłem po tych porównaniach wrażenie, oczywiście zbyt nie generalizując, że po 70ciu latach młodzi Polacy są jakoś mniej honorowi i mniej wierzący Bogu, a to definiowało wg Wujka wszystko pozostałe. Pamiętam też koniec wakacji gdy byłem u Wujka i odjeżdżałem z Rydułtów do domu w Bydgoszczy. Był 31 sierpnia 1982 roku, i po mszy świętej za Ojczyznę Wujek odprowadził mnie na przystanek autobusowy znajdujący się wówczas na rynku, w pobliżu kościoła. Nagle najechały dwie ciężarówki z odkrytymi plandekami, a pośrodku siedzieli z widocznymi karabinami zomowcy. Wyglądali groźnie i byli jakoś pyszni. Objechali demonstracyjnie dwa razy plac wokół rynku i pojechali w stronę Katowic (dopiero później okazało się, że tego dnia w drugą rocznicę „Sierpnia” odbyły się największe w stanie wojennym demonstracje w wielu miastach, w kilku brutalnie spacyfikowane). Jak już odjechali, to powiedziałem do niego, że ten cyrk z pokazem siły, to prawie jak gestapo, ale najgorsze, że ta wredna komuna nigdy nie odpuści, nigdy nie będzie w Polsce wolności. Wujek uśmiechnął się i od razu z wielką pewnością powiedział, że to przecież jest ich koniec, czy tego nie

„A gdzie mój legionista ?”

(ciąg dalszy ze strony 26)

widzę ? oraz dodał, że już niedługo to wszystko runie i będę wkrótce żył w wolnej Polsce ! Powiedziałem, że to jest niemożliwe, ja nie jestem tu optymistą i wątpię, że kiedykolwiek dożyję niepodległości. Na moje szczęście to Wujek miał prawidłowe przeczucie, ale przecież oprócz niebywałej inteligencji miał własne doświadczenia w upadkach imperiów: austro-węgierskiego czy hitlerowskiego.

Spodziewanego upadku sowiektów już nie doczekał. Zarazem nie zaznał tej quasi-wolności, jaką na ćwierć wieku stała się „transformacja komusza” w 1989 roku, gdyż zmarł na początku 1985 roku mając ok.88 lat. Był dla nas przez ostatnie lata życia żywym łącznikiem historii z okresem zaborów oraz okresu II RP. Nasze młodzińcze lata przypadły na okres gierkowski, gdzie prawdziwej historii polski nie można było oficjalnie „spotkać i dotknąć”, bo komunistyczna cenzura PRLu skutecznie działała. To Wujek wówczas głównie ukształtował nasz patriotyzm i imponderabilia. Drugi obieg, a w nim historia polski, dopiero raczkował. My mieliśmy to szczęście, że Wujek odnośnie historii polski, a szczególnie w XX wieku - był po prostu niezależny od PRLowskiego systemu, gdyż znał ją jak mało kto z autopsji. Napisał kilka broszur, które były powielane na maszynie do pisania i uczestniczyły w takim ‘mini’ drugim obiegu. Poniżej końcowy fragment jego referatu „O odzyskaniu Niepodległości”:

„(...)na odzyskanie Niepodległości Polski złożyły się takie czynniki, jak:

dojrzałość narodowa i wola walki zbrojnej

opatrznościowy Wódz Narodu i czyn zbrojny

klęska zaborców i chaos rewolucyjny, połączony z demoralizacją wojska

zdecydowana narodowa wola Niepodległości

Doświadczenia ostatnich czasów wykazały dobitnie, że gwarancją

niepodległego bytu państwa mogą być tylko jego własne siły moralne i materialne. U fundamentów prawdziwie niepodległego państwa musi leżeć żelazny kapitał krwi. Tylko naród, który sam wywalczył sobie Niepodległość i gotów jest każdego dnia walczyć o nią, który nie opiera swej egzystencji na podpisach pod traktatami i na wierze w gwarancje obcych, godzien jest wolnego bytu. Genezą Państwa Polskiego zatem był nie traktat Wersalski, który to wskrzeszone państwo tylko zatwierdził, lecz wola narodu i polski czyn zbrojny. Nie pomogłyby z pewnością niczyje podpisy i pieczęcie, gdyby nie „cud sierpniowy nad Wisłą” w 1920 roku i Wola Opatrzności.

Rydultowy, dnia 22. V 1980 roku”.

Brygadier Związku Piłsudczyków oraz kapelan kombatanów, częstochowski paulin O.Eustachy Rakoczy tak pisał o wujku, przy okazji wzmianki w wydawnictwie jasnogórskim:

„Z prof. S. Leszczycem-Przywarą łączyła mnie wielka żołnierska przyjaźń. Na Jasnej Górze często bywał. Miał wielkie nabożeństwo do Bogarodzicy. Przed Nią zawsze meldował się w mundurze. Był to ostatni w Rzeczypospolitej Legionista, który do końca swoich dni chodził w szarym mundurze”. Oraz w swojej książce „Jasnogórska Hetmanka w polskiej tradycji rycersko-żołnierskiej” z 1998 roku O.Rakoczy pisze: „Por. St.Leszczyce-Przywara był jedynym w Kraju legionistą, który od roku 1974 na uroczystościach religijno-patriotycznych na Jasnej Górze występował zawsze w mundurze legionowym”.

Był też aktywnym uczestnikiem „opłatka legionowego” organizowanego co roku przez środowisko ‘legusów’-kombatanów II RP w krakowskich kościołach, głównie o.Dominikanów. Od 1970 roku spotkania zaszczycał swą obecnością kardynał Karol Wojtyła.

W czasach PRLu, gdy pamięć o czynach marszałka Piłsudskiego była wymazana, cenzurowana, wprost zakazana i skazana

Strona 27

na zapomnienie, to skromny porucznik z I w.św. oraz były profesor gimnazjalny w II RP był inicjatorem kombatanckich uroczystości na Wawelu w rocznice 11-go Listopada. Za zgodą metropolity krakowskiego kardynała Wojtyły odbywały się w tym dniu na Wawelu msze święte oraz złożenie wieńca na sarkofagu Marszałka Piłsudskiego w Kaplicy Srebrnych Dzwonów. Symboliczny i wprost mistyczny stał się 11 listopada 1978 roku. Historyk profesor Wiesław Jan Wysocki, który znał Wujka, umieścił niecodzienne wspomnienie w swojej książce „Krypta Wawelska i Papieski Tron”:

„(...)W roku 1978 – 11 listopada w wawelskich kryptach w Kaplicy Srebrnych Dzwonów u trumny Pierwszego Marszałka zebrał się weterani – legionści; z oczywistych względów metropolity krakowskiego nie było z nimi, wszak dopiero co został biskupem Rzymu...I wtedy zebrani w krypcie doświadczyli swoistej mistyki dziejowej – oto przed nimi jest ten, którego inicjały tworzą inskrypcję JP I, a tam na Watykanie – jest kontynuator-wizjoner o semantycznej inskrypcji JP II. Dla nich to nie było tylko romantyczne czy prometejskie uniesienie, ale realność... Czy to, co potem miało miejsce, nie potwierdza tej realności?!(...)

I wówczas to właśnie porucznik St.L-P złożył symboliczny raport swojemu Marszałkowi. Słowa dokładnie cytuję profesor Wysocki w swojej książce:

„(...) Panie Marszałku! Melduję, że w 60 rocznicę wywalczenia wolnej i niepodległej Polski stajemy wszyscy przy Tobie. Kardynał Karol Wojtyła jest nieobecny, ale on już jest w Rzymie naszym JP II. Ty jesteś naszym JP I. A JP – to wielkopomne słowa Jeszcze Polska... (...)”

Rozmawiałem kilka lat temu z O.Rakoczym i potwierdził, że to właśnie profesor Leszczyce zainicjował historyczne spotkanie 11 listopada na Wawelu przy

Ciąg dalszy na stronie 28

krypcie Marszałka. Bywał też w Krakowie w rocznicę wymarszu Kadrówki z Oleandrów. SBeja utrudniała niektóre spotkania.

Wujek znał biskupa Wojtyłę jeszcze z lat 50-tych, gdzie przyjeżdżał m.in. do swojego brata Franciszka, który był Dominikaninem i dużo bywał w Krakowie. Moja mama tam go poznała, jak również Wojtyłę i ks.Nagy, gdzie też uczęszczała na ich tajne nauczanie dla studentów UJ(tak, było coś takiego, studenci o określonej porze zjawiali się gdzieś w Kurii, mogli wchodzić pojedynczo lub max. 2 osoby, by nie zauważono nigdzie „zebrania”). Wujek był wówczas w bardzo trudnej sytuacji materialnej, na dodatek nie miał dobrego zdrowia. Dla Śląskiej Ubecji był starszym co prawda i niegroźnym, jednak niepożądanym klerykałem i elementem antysocjalistycznym. W powojennym systemie pozwolono mu przez kilka lat uczyć jedynie lekcji rysunku, a jego żonie (Maria Eleonora z rodu Munnich) lekcji religii. Nie tylko więc Herbert był wyjątkiem bezkompromisowości ideowej za którą wiele wycierpiał, byli też inni, a wśród nich zapomniani już dzisiaj nauczyciele z Rydułtów – państwo Przywarowie.

Przez komunę musieliśmy z rodziną przeprowadzić się ze Słupcy do Bydgoszczy (w 1974 roku). Na pożegnanie dostałem od siostry Matyldy, która uczyła mnie religii i przygotowała do I Komunii św, pamiętnik, z jej wpisem na początku (a za kilka lat tą siostrę przeniesiono do Watykanu do pomocy naszemu Ojcu św.). Jak to bywa u młodzieży kolekcjonowałem wpisy od członków rodziny, przyjaciół i znajomych. Wujek odwiedził nas w Bydgoszczy, więc od razu poprosiłem o pamiątkowy wpis. Najważniejsze dla niego było, by przekazać nawet takiemu młodemu chłopakowi, że eucharystia to siła życia. Podpisał się: „kochanemu Pawełkowi na pamiątkę pierwszej wspólnej komunii świętej”. Jakże to było inne podejście od reszty moich wujków. Również zawsze znalazł czas na wspólne modlitwy oraz

odprawienie pełnego różańca (jeden otrzymał na pamiątkę od papieża w 1979 roku). Mnie, zdrowego młokosa pobolewały kolana, a ponad osiemdziesięcioletni, schorowany Wujek żarliwie i z powagą modlił się zawsze na kolanach, i zawsze z wielką pokorą wobec Majestatu Bożego! Był bez dyskusji świętym świeckim, co w zasadzie mogą potwierdzić ludzie, którzy mieli okazję go poznać. Panuje w narodzie przekonanie, że skoro rzeczywistość w PRLu była jaka była, to „każdy za komuny musiał się jakoś dostosować”. Więc ideały trzeba było schować gdzieś głębiej, nie afiszować się i mieć dzięki temu spokój. Wujek naprawdę takim ideowcem był zawsze oraz niezwykle człowiekiem modlitwy . I to przez całe życie, czy w okresie wolnej Polski (przez 20 lat II RP), czy przez prawie pozostałe 50 lat jego życia. Osobną sprawą jest, czy w ogóle można pogodzić wartości człowieka modlitwy i żołnierza! Większość Polaków ma strasznie spaczone spojrzenie na temat wojska, broni i zabijania najeźdźców. To efekt powojennego procesu pacyfistycznego wychowywania za komuny i postkomuny celem całkowitego rozbrajania potencjału obronnego Polaków. I właśnie najbardziej brakuje teraz takich ludzi jak wujek, którzy żyli w dniu codziennym jak święci, w prawdzie i przyzwoitości, ale w razie zagrożenia dla Ojczyzny chwyтали za broń i walczyli „w imię Boże” z najeźdźcami i bandytami.

W II RP był dyplomowanym nauczycielem w gimnazjach języka polskiego i historii, czyli profesorem. Miał charyzmę do wychowywania i kształtowania patriotycznych postaw młodzieży. Młodzi wychowankowie darzyli go wielką estymą jako mądrego nauczyciela i patriotę. Co oznaczał w praktyce autorytet wujka, to najlepiej oddaje historyjka, gdy jeden z jego najzdolniejszych wychowanków w Hrubieszowie Bogusław Krawczyk, przyszedł do niego i poprosił o radę, co ma dalej robić, do jakiej szkoły pójść po gimnazjum i maturze, bo nie miał swojej

wizji, choć był uzdolniony muzycznie, pisał poezję, malował, żeglował. Wujek po zastanowieniu powiedział mu, że nasza Ojczyzna potrzebuje teraz mądrych i odważnych ludzi do tworzącej się polskiej marynarki wojennej. Krawczyk okazał się najzdolniejszym absolwentem Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej w Toruniu (prymus rocznika 1928, ‘Szabla’ od prezydenta Mościckiego).Studiował też we Francji. Wojnę obronną rozpoczął jako dowódca okrętu podwodnego ‘Wilk’, który toczył zacięte boje z Niemcami do 11-go września a następnie jako pierwszy polski okręt przedarł się do Wielkiej Brytanii, gdzie brał później udział w wielu akcjach patrolowych na morzu Północnym. Krawczyk był odznaczony krzyżem Virtuti Militari przez gen. Sikorskiego oraz orderem przez króla Jerzego VI. W 1941 roku na skutek intryg anglików oraz niektórych osób z otoczenia Sikorskiego wobec niego i jego postawy w utrzymaniu niezależności polskiej marynarki wojennej (chciano internować część załogi) wybrał rozwiązanie tragiczne, popełnił samobójstwo mając 35 lat. Był m.in. przez dowódcę floty kontradmirała Unruga uznawany za jednego z najlepszych polskich wojennych dowódców wojskowych.

Po wybuchu wojny Wujek został zmobilizowany jako oficer rezerwy. Brał udział w obronie Lwowa przed Niemcami do samego końca, do 22 września 1939 roku. Opowiadał mi, iż los przydzielił mu dwukrotnie bronić Lwowa, miasta ‘Semper Fidelis’ Rzeczypospolitej. Najpierw w listopadzie 1918 przed Ukraińcami oraz we wrześniu 1939 przed Niemcami. Niezwykle ciężkie były te wrześniowe 10-cio dniowe walki w oblężonym Lwowie z przeważającymi siłami wojsk niemieckich, tym bardziej, że Wojsko Polskie nie miało tam dobrego uzbrojenia, a duży procent stanowili ochotnicy i wycofujące się porozbijane oddziały z kierunku zachodniego. Cała

„A gdzie mój legionista ?”

(ciąg dalszy ze strony 28)

Strona 29

obrona otoczonego z trzech stron Lwowa to była improwizacja i obrońcy wykazali się niewiarygodną walecznością (o której dzisiaj niewiele w Polsce wie). Niemcy byli wściekli, gdyż chcieli jak najszybciej zająć odcięty od świata Lwów a nie mogli dać rady. Kilka razy wysyłali emisariuszy, ale nikt ich nie przyjął, w twierdzy Lwów nie będzie nikt się poddawał. Rozrzucali też z samolotów ulotki z ultimatum oraz korzystnym pakietem poddania się, byle tylko ich natychmiast wpuścić do Lwowa. Należy pamiętać, że w tamtych to czasach, bo ledwie kilka miesięcy później Niemcy w 10 dni zdobyli Holandię, Belgię i połowę Francji, w 7 dni Jugosławię, a Lwowa dzięki bohaterstwu Polaków nie zdobyli pomimo olbrzymiej przewagi. Drugi totalitarny sąsiad, Związek Radziecki, zaatakował Polskę 17 września i już po 2 dniach ich wielka armia stała pod Lwowem, od wschodniej strony miasta. Lwów został więc odcięty od świata przez dwie wrogie i potężne armie, które miały pakt o nieagresji między sobą, IV rozbiór Polski był ustalony kilka tygodni wcześniej. Wojska hitlerowskie z sowieckimi spotkały się 19 września na południowych krańcach broniącego się Lwowa, nawet doszło do drobnych starć między sojusznikami. Miasto nadal dzielnie się broniło i obrońcy wciąż skutecznie odpierali niemieckie szturmy. Sowietci chcieli również wejść jak najszybciej do miasta. Nie pamiętam już niestety, gdzie wujek uczestniczył w obronie, ale miał jakiś kontakt ze sztabem obrony miasta, miał przecież wielkie doświadczenie z I w. św. Po trzech tygodniach wojny obronnej sytuacja w Polsce była jednak już tragiczna i nie było znikąd nadziei, że dalsza obrona miasta ma sens. Alianci nas zostawili bez wsparcia. 20-go września Dowódca obrony gen. Langner wysłał do Rosjan emisariuszy, którzy otrzymali zapewnienie, że jeśli wojsko nie będzie stawiać oporu, to wszyscy żołnierze wrócą do domów, a Rosjanie nie będą atakować miasta. Dowództwo polskie 21 września wobec beznadziejnej sytuacji na całym froncie i wg umowy z sowietami postanowiło przerwać obronę

miasta przed Niemcami i oddać miasto sowietom, z którymi uzgodniono zawieszenie broni oraz swobodę ruchu. Żołnierze mieli wrócić do domów, jednak szeregowcy mieli być oddzieleni od oficerów, co okazało się wyrafinowanym sowieckim podstępem. 22 września to czarny dzień dla wujka. Tego dnia w 1939 roku stał wraz z większością oficerów pod budynkiem Dowództwa Korpusu. Generał Langner wydał rozkaz złożenia broni i wyjścia z miasta: oficerowie ulicą Łyczakowską, a szeregowi innymi drogami, później każdy będzie mógł pójść w swoją stronę. Niektórzy nie chcieli się poddawać. Jednak większość, chcąc uniknąć niewoli niemieckiej szkywała się do wyjścia wschodnią stroną miasta, tak jak to sowietci obiecali osobiście gen. Langnerowi. Szeregowi żołnierze zgromadzili się w innych miejscach i tworzyli kolumny w różnych kierunkach. Niemców już nie było na przedmieściach. Wbrew umowie i zapewnieniom z poprzedniego dnia sowietci wtargnęli do miasta od wschodniej strony około południa. Wujek mówił, że wszyscy byli tym złamaniem umowy przez armię czerwoną zaskoczeni i przygnębieni oszustwem. Setki polskich oficerów zostało w ten sposób otoczonych i zmuszonych do oddania broni – na pobliskim rynku musieli wyrzucić karabiny i pistolety. Powstał wielki stos broni zajmujący dużą część placu. Dzień 22-go września 1939 roku okazał się dla wujka z tego powodu tragiczny, to był koniec wolnej Polski. Wujek powiedział mi też, że niejedno przecież na tych kilku wojnach widział i przeżył, ale najbardziej go zabolalo, jak zobaczył, co zrobił jeden z żołnierzy szeregowców: gdy pojawili się sowietci (NKWD), to ten chłopak zrzucił polski mundur, podeptał go i krzyczał do Rosjan: ‘towarzysze, ja z wami’. Byli bohaterowie narażający życie dla Polski, byli też i tacy pojedynczy zdrajcy. Wujek razem z oficerami zostali ustawieni w rzędy po 6 osób, a następnie z tych rzędów uformowani w długą kolumnę wzdłuż ulicy Łyczakowskiej. Wujek nie znał dokładnych danych, ale było to w sumie

kilka tysięcy oficerów i podoficerów wojska, policji, straży, Obrony Narodowej i innych formacji rezerwy. Z obu stron ulicy, na chodnikach stało trochę ludzi przyglądając się formowanej kolumnie jeńców. Po bokach tej już bezbronnej kolumny na obrzeżach ulicy Łyczakowskiej porządku pilnowało rozstawione głównie NKWD co około 5 metrów z karabinami i bagnetami na wierzchu skierowanymi na polskich oficerów. Wujek zapamiętał, że niektórzy mieli azjatyckie twarze i karabiny na sznurku, podarte obuwie. Wujek znalazł się w tylnej części kolumny, z zewnętrznej lewej strony i bliżej chodnika. Gdy kolumna ruszyła jakiś NKWDysta wrzeszczał, by szli szybciej. Bezpośrednio za wujkiem szedł jego znajomy, który był komendantem policji Lwowa. Został dźgnięty w plecy bagnetem, by szybciej szedł. Wrzasnął i odruchowo odepchnął ten karabin z bagnetem. Rosjanin strzelił w plecy komendantowi zabijając go na miejscu. Wujek nie miał już złudzeń co do tego, co zrobią z nimi sowietci. Postanowił uciec. Modlił się i szedł, a cała kolumna polskich oficerów szła w ciszy i była popędzana przez NKWD. Na chodnikach było trochę przyglądających się cywili, większość bram w kamienicach wzdłuż ulicy NKWDyści kazali pozamykać. Nagle wujek na chodniku zobaczył jakiegoś swojego byłego ucznia, który krzyknął: ”profesorze, otworzę niedaleko bramę” i pobiegł chodnikiem do przodu”. To był uczeń wujka, ale był narodowości żydowskiej. Byli też i tacy odważni Żydzi, nieobojętni na tragiczny los polskich żołnierzy. I rzeczywiście niedaleko za chwilę gdzieś została uchylona brama kamienicy, więc Wujek wyskoczył w lewo do tej otwartej bramy, jak tylko potrafił najszybciej. Padło za nim kilka strzałów, ale wszystkie niecelne. Gdy przebiegł podwórze, znalazł tylne wyjście i ...był wolny. Zawdzięczał życie mądrej decyzji i odważnej postawie polskiego młodego żyda. Prawie wszyscy jego koledzy z obrony Lwowa, i prawie wszyscy

Ciąg dalszy na stronie 30

oficerowie z tej kolumny zostali przetransportowani do Starobielska i później po kilku miesiącach jako polscy jeńcy otrzymali każdy indywidualnie po kuli w głowę w Charkowie. Tak wyglądało rosyjskie „dotrzymywanie umów”. Do rodzinnego domu pod Nowym Sączem dotarł pieszo po dwóch miesiącach.

Wojnę spędził w Ptaszkowej. Najpierw Służba Zwycięstwu Polski, potem ZWZ-AK w Grybowie. Kilka razy jako kurier przynosił do Budapesztu materiały konspiracyjne, choć nie miał dobrej kondycji z powodu choroby serca. Znał dobrze język węgierski oraz słowacki, a co najważniejsze znał świetnie tereny sądeckie, gdzie dorastał za młodu. Ten epizod kurierski zapamiętał Staszek, bo Wujek próbował go nauczyć podstaw węgierskiego (bez powodzenia). Ja pamiętam opowieść o pierwszej większej wpadce siatki konspiracyjnej na terenach nowosądeckich. Pewnego razu Wujek będąc przy oknie za firanką przypadkiem zobaczył, jak ktoś przyszedł w pobliże ich domu i jak do niego podbiegł jego syn Staszek. Wujek zobaczył, że syn stanął przed gościem na baczność. Tak więc młody Staszek nie rozmawiał z Wujkiem, gdzie wstąpił do konspiracji, zachował tajemnicę, nawet przed ojcem. Jednak długo się im nie udało działać w podziemiu, nie mieli doświadczenia, dowódcy byli mało ostrożni. Nastąpiła wpadka i aresztowano kilkanaście osób. Staszekowi się udało, Gestapo jego nie namierzyło. Ale wówczas Wujek z kolegami z kontrwywiadu zrobili porządek: dowodzącymi siatką AK oraz grupami partyzanckimi zostali doświadczeni zawodowi wojskowi. Następnym wpadce w organizacji już nie było do końca wojny, były porażki w niektórych akcjach (w jednej zginął Wujka syn Staszek), ale nie było zdrady. Aż do czasu tzw. "wyzwolenia" w 1945 roku. Wujek został aresztowany i przewieziony do Urzędu Bezpieczeństwa w Nowym Sączu. Jak zawsze w trudnych sytuacjach modlił się

i całkowicie oddawał Maryi. Nie miał na rękach kajdanek, po wprowadzeniu na jakiś większy korytarz czy salkę, kazali mu usiąść i czekać. Powiesił na stojaku palto i kapelusz. Zorientował się, że jedynie 'krzątają się' sekretarki i nie ma śledczych z drugiej zmiany, a ci, którzy go aresztowali właśnie wyszli. Więc chwilę odczekał, podszedł do wieszaka, zdjął spokojnie palto, ubrał je, nałożył też kapelusz i odwracając się do sekretarek uśmiechnął się, i kłaniając się kapeluszem powiedział "dziękuję, do widzenia". Nikt jakoś nie zauważył, że to aresztowany gość! Również nie wzbudził podejrzeń przy wyjściu..i był na wolności. Nie pamiętam już gdzie się ukrywał, ale to trwało ponad rok. Miał kontakt z podziemiem, choć ze względu na zdrowie nie uczestniczył w akcjach bojowych WiN. W 1947 roku ujawnił się, gdy komuniści ogłosili tzw. amnestię i przestał się ukrywać. Zamieszkał z żoną w Rydułtowach i UB już go później nie aresztowało, choć nękało – nie mógł rozpocząć w pełni normalnego życia jako doświadczony nauczyciel języka polskiego oraz historii – jedynie rysunku. By dorobić cokolwiek na życie, a potem do symbolicznej emerytury zajął się malarstwem. Malował szkice olejne oraz całe obrazy. W malarstwie wzorował się na Kossaku w scenach batalistycznych, ale również na innych polskich malarzach. Uwielbiał tematykę Tatr, co znalazło oddźwięk w wielu obrazach o tej tematyce.

Najważniejszą sprawą dla Wujka była codzienna msza święta i otrzymanie eucharystii. Był całkowicie oddany Bogu, to z niego promieniowało i dawał wyjątkowe, autentyczne świadectwo wiary i moralności. Codziennie bywał na mszy św. w kościele parafii św. Jerzego w Rydułtowach. Zawsze wdzięczny Matce Bożej za wszelkie otrzymane dobro, zawsze do ludzi uśmiechnięty i cieszący się z każdej chwili życia, które nie było usłane różami! Można powiedzieć, że każdy człowiek dźwiga jakiś swój krzyż – ale jego był niezwykle ciężki, a znosił z niebywałą

pokorą wszystkie niesprawiedliwości i cierpienia.

W najczarniejszych czasach stalinowskich (1953 i 1954) do parafii św. Jerzego w Rydułtowach Bóg skierował jednego z najwspanialszych polskich księży – ks. Franciszka Blachnickiego. Ówczesny młody wikary był dla profesora Leszczyca prawie jak jego syn, którego stracił w czasie II wojny św. Jego jedyny syn, również Stanisław Przywara był rówieśnikiem ks. Blachnickiego. W czasie wojny, w Ptaszkowej na Sądecku, gdzie przebywali Przywarowie, działał w harcerskich Szarych Szeregach i w partyzantce AK. Tuż przed końcem wojny, 22 września 1944 roku został przez Niemców złapany i okrutnie zamordowany pod dwóch godzinach tortur. Był zresztą uznawany za świętego.

Ksiądz Blachnicki również walczył o wolną Polskę. Miał więcej szczęścia od Staszka Przywary ps. 'Szary', który po wojnie też chciał zostać księdzem. Franciszek Blachnicki wojnę cudem przeżył, choć wycierpiał aż nadto. Po aresztowaniu w 1942 roku trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, następnie do aresztu śledczego w Katowicach, gdzie otrzymał wyrok śmierci. Spędził aż 4,5 miesiąca w celi śmierci. Tam doznał wielkiego nawrócenia i otrzymał wiele łask Bożych i postanowił, że swoje życie odda na służbę Bożą. Karę zamieniono na 10 lat więzienia, które spędził do końca wojny w więzieniach i obozach.

Wspólna niedola stalinowskiego terroru dla Kościoła i katolików oraz wojenne przeżycia scementowały przyjaźń Wujka z ks. Blachnickim. Doświadczenia Wujka z kontrwywiadu przydały się zapewne młodemu księdzu, który w latach 1954-56 działał również w tajnej kurii w Katowicach, gdy komuniści wydalili z diecezji wszystkich biskupów ze Stalinogrodu! Wówczas w tych najgorszych czasach miało miejsce kilka

„A gdzie mój legionista ?”

(ciąg dalszy ze strony 30)

symbolicznych wydarzeń w parafii św. Jerzego. Ksiądz Blachnicki stworzył coś, co dzisiejszym językiem można by nazwać „innovacyjny projekt” pod nazwą „Ruch Światło – Życie”. Projekt duchowy, bez żadnych dotacji, a wręcz z utrudnieniami czy później wprost z prześladowaniami ze strony PRLowskich władz. Pierwsze, historyczne rekolekcje „Oazy Dzieci Bożych” były dla ministrantów z Rydułtów. Ile w tym projekcie było doradztwa Stanisława Leszczyc-Przywary to dokładnie się już chyba nie dowiemy nigdy, przez Jego skromność po prostu o tym prawie nie mówił, a ks. Blachnicki również był człowiekiem nastawionym na uczynienie realnym tego dzieła, a nie wspomnianie o początkach. Pamiętam, że Wujek był z „Oazy” bardzo dumny i mówił, że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych.

Pomimo formalnego zakazu szerzenia kultu Bożego Miłosierdzia oraz obrazu „Jezu ufam Tobie” z objawień siostry Faustyny ks. Blachnicki „wiedział swoje”, (nie czekał do lat

osiemdziesiątych, gdy zakaz cofnięto) i zlecił artyście-Leszczycowi namalowanie dla parafii w Rydułtówach takiego właśnie obrazu. Profesor Leszczyc namalował później wiele takich kopii. Rydułtowy stały się swoistym prekursorem kultu Bożego Miłosierdzia. Kopię obrazu poświęconego przez ks. Blachnickiego można oglądać obecnie w prawej bocznej nawie kościoła parafii św. Jerzego. W drugiej bocznej lewej nawie znajduje się również obraz namalowany przez prof. Leszczycę przedstawiający Matkę Bożą Fatimską. W zakrystii obraz przedstawiający św. Ritę.

Był czcicielem Maryi. Kombatanci w latach 70-tych postanowili ufundować dla Królowej Polski płaszcz od żołnierzy, czyli votum składające się z ich najcenniejszych orderów i odznaczeń otrzymanych za walkę o obronę Polski (obraz znajduje się w muzeum jasnogórskim). Ojciec Rakoczy poprosił każdego z żołnierzy by do ofiarowanych odznaczeń zrobili krótki opis. Tak wpisał się porucznik Leszczyc-

Przywara:

„We wspólnej intencji sprawienia sukienki-munduru dla Matki Boskiej Częstochowskiej – Jasnogórskiej Hetmanki, oraz jako osobiste votum dziękczynne za wieloletnią wyraźną opiekę Matki Najświętszej od bitwy pod Mołotkowem poczynając aż po dzień dzisiejszy, jako wyraz najgłębszej wdzięczności i pokornej a ufnej miłości składam w ofierze swój „Krzyż Legionowy”, odznakę wspólną wszystkich III Brygad, oddziałów i formacji legionowych z lat 1914-1918 (...)”

Wujek dbał o poprawność języka, sam był erudytą. Powiedziałem coś kiedyś przy nim „ot, takie tam...”. Chwycił mnie za ramię, spojrzał w oczy i powiedział: „ot, co” to straszny rusycyzm! Nigdy tak więcej nie mów! Oj, zapamiętałem i nie powiedziałem tak już nigdy więcej.

Kończąc wspomnienie, jako podsumowanie zacytuję fragment z książki „Odejścia” mojego ulubionego księdza, o. Augustyna Pelanowskiego:

„Wierzę w to, że Ojciec z Nieba ma plan wobec nas i z każdego położenia, w którym się znajdziemy, jest w stanie uczynić drogę do Niego. A dojść do Niego jest najważniejszym sukcesem człowieka. Pan Bóg najwięcej obiecał tym, którym dał najmniej szans na tym świecie. Dla nich ma największą obietnicę. Obietnicę, która nie potrzebuje żadnej szansy. Dorastamy do Królestwa Niebios dzięki temu, co nas przerasta.”

Częstochowa, Jasna Góra, w dniu 5 czerwca 1979 roku, I pielgrzymka do Ojczyzny Ojca św. Pana Pawła II. Wybrani przedstawiciele różnych środowisk mieli okazję do złożenia Ojcu św. wyrazów miłości czy też przygotowanych podarunków. Żył wówczas jeszcze garstka tych, którzy za młodu poszli w 1914 roku walczyć o wolność dla Polski. Hołd w imieniu



Grób prof. Stanisława Leszczyc-Przywary w Rydułtówach
(fot. Paweł Milla)

„A gdzie mój legionista ?”

(dokończenie)

żołnierzy kombatantów legionistów miał złożyć najwyższy rangą z pośród jeszcze żyjących - gen. Boruta-Spiechowicz, ale tak się złożyło, że zachorował. Dlatego poproszono porucznika Leszczyca jako również znanego kombatanta, by się zgodził reprezentować żołnierzy czynu legionowego. Jak zwykle Wujek wezwał na pomoc Ducha Świętego by mu pomógł w improwizacji hołdu dzięczynnego dla Karola Wojtyły, z którym się przecież spotykał od wielu lat, ale to było zanim kardynał został namiestnikiem Chrystusa. Salutując do maciejówki wypowiedział znamienne słowa:

„OJCZE ŚWIĘTY

Porucznik Stanisław-Leszczyc Przywara, legionista marszałka Józefa Piłsudskiego, w swoim i swoich Kolegów imieniu składa Ci w hołdzie wyrazy najgłębszej czci, oraz nasze upokorzenia, dyskryminacje, krzywdy i całą poniewierkę, którą przeżywamy w dalszej naszej wiernej służbie Bogu i Polsce, dając w miarę możliwości i sił świadectwo Prawdzie. Niech nasze cierpienia i modlitwy dołączą do tych, które mają wzmacniać Twe siły w pełnieniu Twego posłannictwa. Zarazem proszę Waszą świętobliwość o błogosławieństwo na ostatni odcinek naszej pielgrzymki życiowej”.

Po wypowiedzeniu słów tego historycznego raportu żołnierzy Rzeczypospolitej z wielkim szacunkiem ucałował pierścień papieża. Zobaczył też łzy wzruszenia w oczach Jana Pawła Wielkiego. Akt takiego żołnierskiego hołdu Ojcu Świętemu stał się symbolem ciągłości katolicko-historycznej NARODU polskiego. Wkrótce powstała „Solidarność” i Polska się odmieniła.

Paweł Milla

Dodatek do artykułu „A gdzie mój legionista ?”

Artykuł „A gdzie mój legionista ?” niejako wywołał mnie do tablicy. Paweł Milla świetnie oddał w nim postać prof. Stanisława Leszczyca-Przywary. Poczuję się w obowiązku wrzucenia własnych „pięciu groszy” i poszerzenie rysu tej wielkiej postaci Polaka i legionisty o własne uwagi.

Prof. Leszczyca-Przywara poznałem przez jego brata, dominikana Ojca Franciszka Przywarę, który pełnił funkcję kapelana u siostr dominikanek klauzurowych w Świętej Annie koło Częstochowy. Zarówno moi Rodzice jak i ja osobiście często tam bywaliśmy, podobnie jak i Pan Profesor, z którym się zaprzyjaźniliśmy. Odwiedzaliśmy go również w jego mieszkaniu w Rydułtowach.

Zawsze byłem pod wrażeniem jego wielkiej kultury, wiedzy i jednocześnie niesamowitej skromności i spokoju. Faktycznie, traktowałem go jako Wujka, którego słuchało się z przyjemnością, a i

wynosiło wiedzę na temat historii Polski oraz wielkie umiłowanie dla Ojczyzny. Takim po prostu był całym sobą.

Po II wojnie światowej nie miał lekkiego życia. Władza komunistyczna zawsze patrzyła na niego jako na „wrogi element reakcji”, więc nie dopuszczała go do młodzieży. Tym samym jego środki do życia były mniej niż skromne. Jednakże tutaj wykorzystywał swój talent malarski. Stanowiło to nie tylko jakiś niewielki dochód, ale pozwalało mu wyzwolić w obrazach to, co zawsze było mu najdroższe. Malował obrazy o tematyce religijnej, historycznej ale także ukochane widoki Tatr.

Jednym z obrazów, które moi Rodzice otrzymali od niego był wzorowany na Kossaku obraz „Piłsudski na kasztance”, który zawsze wisiał na honorowym miejscu w naszym domu. Po śmierci moich Rodziców przekazałem ten obraz w 2017 roku dla Muzeum Józefa Piłsudskiego, by tam spełniał swoją rolę



Przekazanie przez Stanisława Matejczuka obrazu „Piłsudski na kasztance” prof. Stanisława Leszczyca-Przywary dla Muzeum Józefa Piłsudskiego w roku 2017 (fot. PSF)

Dokończenie na stronie 33



Nagrobek Nieznanego Żołnierza z 1939 roku w Świątyni, ufundowany przez Prof. Stanisława Leszczyca-Przywarę w 1977 roku (fot. PSF)

dla wszystkich.

Muszę dodać, że malarstwo prof. Leszczyca-Przywary doceniono również poza granicami Polski. Jakoś około roku 1977 jeden z jego obrazów został zakupiony przez rodzinę królewską do Buckingham Palace i prawdopodobnie tam się do dzisiaj znajduje. Dowiedziałem się o tym od jego brata, O. Franciszka, bo sam Profesor, pytany, odpowiedział: „taki tam bohomaz”. Przez tę niezwykłą skromność trudno było zdobyć informacje na jakikolwiek temat, gdzie w grę wchodziły jego osobiste osiągnięcia. A przecież miał ich wiele.

Zawsze fascynowała mnie jego perfekcyjna znajomość języków niemieckiego oraz węgierskiego. Zwłaszcza węgierski, jako bardzo trudny, nie robił mu żadnego problemu. Indagowany odparł: „to przez to, że czasami chodziłem z jakimiś papierami do Budapesztu”. Oczywiście, chodziło o lata wojny. Jednakże nigdy nie powiedział nic więcej. Takim po prostu był.

Natomiast jego „belferstwo” wyczuwałem

na każdym kroku. Zawsze czuwał, bym powtarzał niektóre polskie słowa z właściwym akcentem. Ja się temu poddawałem, bo robił to w sposób niezwykle taktowny aczkolwiek z naciskiem. O jednym z takich przykładów wspominał także Paweł w swoim artykule.

Profesor Leszczyca-Przywara znał też perfekcyjnie grekę i łacinę, charakterystyczne dla dobrego, dwanego wychowania humanistycznego. Zachęcał mnie zawsze do tych języków, a widocznym tego przejawem są dzieła Cyserona, tacyta, Juliusza Cezara i wielu innych w oryginale, które mi podarował.

W roku 1977 profesor Leszczyca-Przywara ufundował ze swoich niesamowicie skromnych środków prywatnych nagrobek z tablicą, wykonaną w brązie, dla Nieznanego Żołnierza z września 1939 roku. Grób ten znajduje się na zewnątrz kaplicy cudownej figury Świętej Anny przy klasztorze sióstr dominikanek. Według moich wiadomości, żołnierz ow ranny, jakimś cudem dotarł do klasztoru, ale pomimo wszelkich starań zmarł z odniesionych ran. Siostry pochowały go właśnie tam. Na prośbę profesora ówczesna przełożona klasztoru, Matka Alberta Pietruszka wyraziła zgodę na modyfikację istniejącego nagrobka i opatrzenie go tablicą. W liście do Matki Alberty z dnia 24 czerwca 1977 roku profesor napisał:

„Jak najserdeczniejsze „Bóg zapłać !” za wczoraj otrzymany list, uwzględniający moją prośbę na modyfikację nagrobka Nieznanego Żołnierza na Waszym wirydarzu przykościelnym !”

W dalszej części profesor prosił jedynie o wsparcie modlitwą jego starań, dając tym samym do zrozumienia, że bierze na siebie wszelkie koszty. Kiedyś go o to zapytałem. Odpowiedział mi łagodnie:

„Wiesz, to był żołnierz, który zginął za naszą ukochaną Polskę tak jak mój Stasiu. To mu jestem winien ...”

Ta odpowiedź jakby oddaje w pełni oddanie profesora Leszczyca-Przywary



Matka Boża Armii Krajowej pędzla prof. Stanisława Leszczyca-Przywary (fot. archiwum)

dla sprawy Polski, o którą sam walczył najpierw jako legionista, potem jako oficer Armii Krajowej.

Swojego rannego syna Stasia, żołnierza AK o ps. „Szary” stracił w 1944 roku, kiedy ranny w potyczce z Niemcami, został przez nich rozstrzelany gdzieś w okolicach Grybowa. Jego postać umieścił na jednym z swoich obrazów *Matka Boża Armii Krajowej*.

Cały czas staramy się z Pawłem Millą o należyte uhonorowanie profesora Stanisława Leszczyca-Przywary. Chcemy sporządzić coś jakby biografię jego życia. Życia niesłychanie skromnego, ale przepojonego miłością do Boga i Ojczyzny aż do samego końca.

Nie było mi danym być na pogrzebie profesora, bo w tym czasie (1985 rok) stałe przebywałem w „PRL-owskim pensjonacie” na Kleczkowskiej we Wrocławiu. O jego śmierci dowiedziałem się od moich Rodziców na widzeniu. Przypomniały mi się wtedy jego słowa, które często powtarzał: „dziękuję każdego dnia Panu Bogu za przeżyty dzień”.

Stanisław Matejczuk

Skomplikowany balans etniczny, jaki wytworzył się we Lwowie w ciągu 6 wieków zgodnego życia kilku narodów, został zniszczony wskutek aktywności agresorów, którzy postanowili na nowo umeblować Europę. Mimo długiego obcowania wieloetniczna tkanka społeczna była krucha. Szokiem dla lwowskich Polaków była nielojalność współobywateli. "Wasze się już skończyło" mówili w nos Polakom żydowscy komsomolcy. Szokiem była kompletna dezorganizacja życia. We wspomnieniach rodziców utkwiła pierwsza zima w niewoli i ulice tonące w śniegu (dawniej magistrat sprawnie usuwał śnieg mając do dyspozycji 6 angielskich ciężarówek Packard). Jeszcze gorsza była groza wywózek po sygnałach od kolejarzy, że na bocznicach gromadzone są wagony towarowe. W sklepach wciąż można było jeszcze coś kupić (w magazynach zostało trochę towarów), ale była to sprzedaż wiązana – aby kupić cukier, trzeba było nabyć też broszurę propagandową. Nachalna propaganda wciskała się zresztą wszędzie za pomocą transparentów, gazetek ściennych, czy masówek w zakładach pracy. Szokiem była wiadomość, że oprócz Żydów z bolszewikami kolaborują także niektórzy polscy literaci z Wandą Wasilewską, Władysławem Broniewskim i Tadeuszem Boy - Żeleńskim na czele. Po zmianie okupanta kolejny szok – głowa Kościoła Grekokatolickiego - arcybiskup Szeptycki (wnuk Fredry!) powitał chlebem i solą okupacyjne władze niemieckie, a Ukraińcy hucznie świętują na ulicach urodziny Hitlera.

Obraz okupacji we Lwowie, jaki przedstawiła Agnieszka Holland w jednym ze swoich filmów, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Nieprawdą jest, że Polacy prowadzili całkiem normalne życie, (np. mogli sobie kupić pomarańcze). Artystka prawdopodobnie zdaje sobie sprawę z kłamliwości przekazu, ale twórca musi się liczyć z wymogami rynku. A może intuicja podpowiedziała jej narrację gwarantującą rozgłos i nagrody na festiwalach?

Bardziej wierzę jednak opowieściom rodzinnym, niż międzynarodowo uznanej celebrytce - artystce festiwalowej.

Jak mogli czuć się Polacy, którym po sześciu wiekach "się już skończyło" ?

Strach, niepewność jutra i pytanie, czy zamordują nas Rosjanie, Niemcy, czy Ukraińcy ?

Wszehobecny głód – zbieranie lebiody i szczawiu. Moja matka rodząc mnie w 1944 roku ważyła 43 kg. Ukraińska położna, która wydobyła mnie na świat, zapytana "czy będzie żył" odpowiedziała dyplomatycznie - "Pan Bóg łaskaw". W opowieściach rodzinnych długo wspomniano o babci, która zamieniła gruby złoty łańcuch od zegarka na 5 kg kaszy (złoto miało zupełnie inną wartość niż obecnie). Wobec koszmarów okupacji mało mówi się o głodzie, ale był to problem, zwłaszcza przy ukrywaniu ludzi, kiedy trzeba było dzielić się żywnością.

Lwowiacy nie byli sobie w stanie wyobrazić sytuacji, że najważniejsze miasto obok Warszawy może pozostać poza Polską. Jednak doświadczenia pierwszej sowieckiej okupacji (1939 – 1941) były na tyle dramatyczne, że większość mieszkańców postanowiła opuścić ukochane miasto i poddać się "repatriacji". Lwowiacy już wówczas wiedzieli, że opuszczenie "ojczyzny proletariatu" nie zawsze będzie możliwe i "okienko" może się zatrzaskać. Tak się zresztą stało. Dopiero po odwilży 1956 roku wypuszczono tych największych optymistów, którzy najdłużej mieli nadzieję na przeczekanie komuny.

Jednym z ostatnich wyjeżdżających był mój wujek Zbigniew Ciekliński – historyk sztuki pracujący w Ossolineum. Miał on wygląd typowego polskiego inteligenta (okulary, kapelusz). Raz, gdy szedł ulicą ze swoim kilkuletnim synkiem, zaczął go pijany oficer Czerwonej Armii. Rosjaninowi bardzo nie podobała się fizjonomia wujka, więc postanowił zaciągnąć go do NKWD krzycząc "ty burżuj" i szarpiąc za rękaw. Zrobiło się zamieszanie, mój mały kuzyn zaczął

plakać, w końcu jakieś rosyjskie kobiety odciągnęły natręta. Ale incydent przekonał wujka do wyjazdu, zwłaszcza, że tragiczne doświadczenie z NKWD miał już jego starszy brat.

Kto doniósł ?

Mój drugi wuj - Stanisław Ciekliński -po skończeniu studiów polonistycznych na Uniwersytecie Lwowskim dostał skierowanie do pracy na Śląsk, gdzie pracował jako profesor gimnazjum w Tarnowskich Górach. Pod koniec wakacji 1939 roku, z uwagi na niepewny czas, Cieklińscy skrócili pobyt w Zakopanem i rozdzielili się – żona z dziećmi udała się do dziadków do Lwowa, a profesor wrócił na Śląsk, bo zbliżał się początek roku szkolnego. Rankiem 1 września Stanisława obudziły czołgi jadące pod oknami. Jako polski nauczyciel (polonista!) nie miał szans przeżycia na Śląsku, więc wsiał na rower i zaczął uciekać. Cudem udało mu się dotrzeć po tygodniu do Lwowa. We lwowskiej kamienicy przy ulicy Potockiego (obecnie Szuchewicza), gdzie mieszkali dziadkowie Cieklińscy, lokatorami byli lwowiacy pochodzenia polskiego i żydowskiego. Babcia opowiadała, że udało jej się kupić okazjnie piękny garnek od sąsiadki – Żydówki, której mleko rozlało się do garnka przeznaczonego do mięsa, wskutek czego garnek stracił koszerność. Niedługo po zajęciu Lwowa przez sowietów, do mieszkania dziadków nocą wkroczyło NKWD, by aresztować "bieżenców" ze Śląska. Ludzki enkawudysta powiedział nawet, że "rebionki" mogą zostać u "babuszek". Stanisław Ciekliński podjął jednak decyzję, by rodziny nie rozdzielać. Decyzji tej sobie nie darował do końca życia. Rodzina przeszła Golgotę Wschodu – podobnie jak setki tysięcy Polaków w ostatnich 300 latach. Dożyli układu Sikorski – Majski i "amnestii" dla Polaków. Z dokumentu dowiedzieli się o swoim "przestępstwie" i przyczynie aresztowania – było to ... "nielegalne

przekroczenie granicy ZSRR". Jeszcze przed wkroczeniem bolszewików do Lwowa już była granica !

Ciekińskim udało się dotrzeć do armii Andersa i wyjść z "niehumanitarnej ziemi", ale już w wolnym świecie, w Persji, ich dzieci zmarły w odstępie paru dni. Jaś i Zosia Ciekińscy leżą gdzieś na polskim cmentarzu w Iranie...

W polskim wojsku Stanisław robił to, co umiał najlepiej – uczył polskiego. Bo armia Andersa była wyjątkowa, czym zadziwiała aliantów. W wojsku funkcjonowała regularna szkoła, a żołnierze przygotowywali się do matury. Dwukrotnie klasa, w której wychowawcą był Ciekiński, uległa uszczupleniu – raz po przybyciu do Palestyny, gdzie zdezerterowało sporo żołnierzy – Żydów, drugi raz po bitwie pod Monte Casino... Po wojnie Ciekiński wrócił z Anglii do Tarnowskich Gór, by uczyć polskiego. Wracając jako żołnierz "od Andersa" wpadł prosto w łapy UB, ale to już inna historia...

W tej samej kamienicy mieszkał przykładowy katolik mecenas Rodkowski (Rutkowski?). Nie było tajemnicą dla lokatorów, że mecenas był Żydem, który się ochrzcił z okazji ślubu z katoliczką. Gdy Rodkowski został aresztowany, mój dziadek Franciszek Ciekiński, który znał perfekcyjnie niemiecki (był tłumaczem w austriackiej armii) udał się na gestapo świadczyć, że znał rodziców mecenas – "dobrych chrześcijan". Niemcy wysłuchali uprzejmie, ale nie uwierzyli (oczekiwali łapówki?). Na prośbę zrozpaczonej żony Rodkowskiego Franciszek udał się na policję drugi raz i już nie wrócił. Po paru dniach obaj zostali rozstrzelani w podlwowskich Winnikach (o próbie ratowania mecenas Rodkowskiego pisałem już szerzej na łamach Kuriera Wnet). Mój dziadek należy do tych tysięcy anonimowych bohaterów ratujących Żydów kosztem własnego życia, którzy nie będą mieć swojego drzewka w Yad Vashem...

Czy "bieżenców" Ciekińskich wydali w ręce NKWD lokatorzy Żydzi?

Czy mecenas Rodkowskiego zadenuncjowali na gestapo sąsiedzi Polacy ?

Prawdopodobnie nikt nikogo nie wydał, ale nieufność wśród lokatorów mogła powstać.

Ciekińscy mogli nieopatrznie gdzieś się zarejestrować, czy zameldować (wiedza, do czego zdolni są bolszewicy, nie była jeszcze powszechna).

Miejsce zamieszkania Rodkowskiego mogło być znane Niemcom. "Judenraty" – organy samorządu żydowskiego otrzymały na początku okupacji polecenie, aby dostarczyć listy członków gmin żydowskich aktualnych i byłych wraz z adresami. Administracja żydowska skwapliwie polecenie wykonała (wiedza, do czego zdolni są Niemcy, nie była jeszcze powszechna). Zresztą do 1942 roku Niemcy mordowali prawie wyłącznie Polaków.

"Żydowskie srebra"

Przed wojną kontakty między ludnością polską i żydowską były częste i naturalne. Żydzi nie przejawiali w stosunku do Polaków takiej wrogości, jaką obserwujemy obecnie, bo nie zorganizowano jeszcze antypolonizmu (przemysłowcy "przemysłu Holocaustu" jeszcze się nie narodzili).

Znajomy drugiej mojej babci (także mieszkającej na Potockiego) Żyd – fryzjer, przyniósł komplet srebrnych sztućców z prośbą o przechowanie "do lepszych czasów". Lepsze czasy nie nastąpiły. Fryzjer wkrótce został zamknięty w obozie przy ul. Janowskiej, a później udał się w swoją ostatnią życiową podróż do Trebinki. "Żydowskie srebra" zaś odbyły całą odyseję lwowskich wygnańców – Przeworsk, Łódź, Wrocław, Poznań i w końcu dotarły do Koszalina. Nigdy nie były używane. Ponieważ znalezienie ewentualnych spadkobierców było niemożliwe, "żydowskie srebra" stały się klasycznym "mieniem bezspadkowym".

Na przełomie lat 80/90 ub. stulecia wielu

szlachetnych ludzi na całym świecie zdawało sobie sprawę, że straszliwy los spotkał Polskę i Polaków w ostatnim półwieczu, o czym świadczy lawina paczek z pomocą, jaka popłynęła do Polski. Jednym z takich ludzi był nauczyciel Harvey Granite z założonego przez Polaków miasteczka Warsaw w stanie New York. W latach 90 – tych organizował on darmowe wakacyjne kursy angielskiego dla polskich licealistów. Najlepszy uczestnik kursu miał szansę na kontynuację nauki w amerykańskim koledżu i gościnę w domu państwa Granitów (oboje byli nauczycielami). W tych czasach znajomość angielskiego i amerykańska matura była przepustką do lepszego życia. Tak się zdarzyło, że jednym z beneficjentów został mój syn.

Jadąc do Ameryki zabrał "żydowskie srebra" jako prezent dla gospodarzy. Tak więc amerykański Żyd mający dużą sympatię dla Polaków (tak! Tacy też są) stał się właścicielem srebrnej zastawy lwowskiego fryzjera, którego imienia już nikt nigdy nie pozna.

Spadkobiercy znalezieni w Australii

Moi tesciowie – farmaceuci byli właścicielami największej apteki w Częstochowie położonej w prestiżowym punkcie miasta. W czasie okupacji znajoma Żydówka poprosiła ich o przechowanie cennej biżuterii. Znajoma nie doczekała "lepszych czasów" – została zamordowana wraz z całą bliższą i dalszą rodziną. Po wojnie nastąpiły gorsze czasy dla prywatnych właścicieli – aptekę teściom upaństwowiono, czyli ukradziono (teraz znowu jest prywatna, ale trafiła do elit zupełnie innej proveniencji). Teściowie z dnia na dzień utracili dorobek pokoleń. Wkrótce teść zmarł, a teściowa samotnie wychowując dwie córki w wieku szkolnym, z opinią "wroga ludu", musiała zmierzyć się z trudami życia. Rodzina jadła wędliny dwa razy do roku w święta, jajka raz na tydzień w niedzielę, a na codzień głównie

chleb z marmoladą lub smalcem. Mimo biedy, teściowej nigdy do głowy nie przyszło, by stopniowo naruszać cenny depozyt i dokładać do codziennego życia. Wiele energii poświęciła na szukanie spadkobierców właścicielki biżuterii. Po 25 latach poszukiwań, teściowa w końcu znalazła spadkobiercę w Australii. Pani, która przyjechała z antypodów po odbiór cennego depozytu, przywiozła teściowej australijski sweterek. Choć sweterek miał się nijak do wartości biżuterii, stanowił on wyraz wdzięczności. Dziś czasy się zmieniły o tyle, że można by było się spodziewać raczej rachunku za "bezumowne korzystanie z dóbr przez 25 lat".

Czy można było zrobić coś więcej w celu ratowania żydowskich współobywateli ?

Moja matka wspominała o dojmującym poczuciu bezsilności, gdy się dowiedziała, że jej koleżanki z gimnazjum im. Królowej Jadwigi (pamiętam jedno nazwisko – Hanka Rappaport) zostały uwięzione w obozie przy ul. Janowskiej.

Nasze możliwości pomocy Żydom podczas okupacji niemieckiej były bardzo skromne. Więcej okazji mieli Żydzi do pomocy Polakom w czasie panowania sowietów. Ten temat jest mało znany, ale są przekazy o ostrzeganiu Polaków przed

aresztowaniem, czy wywózką. Warto o tym pamiętać.

Zarówno bolszewicy jak i Niemcy mogli zamordować Polaka nie angażując żadnego sądu.

Brutalność obu agresorów była niewyobrażalna dla ludzi Zachodu, którzy sądzili, że okupacja w Polsce wyglądała podobnie jak w Belgii czy Francji. Intelktualiści francuscy uważali nawet, że Polacy na wieść o mordowaniu Żydów powinni ogłosić strajk generalny...

Podalem tu przykłady zachowań wobec Żydów bliskich mi rodzin.

Jestem pewny, że takich właśnie rodzin jest ogromna większość w Polsce.

W każdej społeczności istnieje patologiczny margines, ale urabianie opinii o Polakach na podstawie zachowań marginesu, to działanie celowe i wynikające ze złej woli. Dopiero gdy Światowa Organizacja Restytucji Mienia Żydowskiego wystąpiła z roszczeniami wobec Polski, zrozumieliśmy do czego służyła pedagogika wstydu, którą "wychowywano" społeczeństwo polskie przez 25 lat.

Jan Martini

Gadżet seksowny sobie kupować,

**Komuś na osiemnastkę, a może
Gdy na rentę już idzie niebożę.
Bo wiedzieć trzeba koniecznie,
Że seksownym jest się wiecznie.**

**Stary na wózku, o dwóch kulach
Też seksownie sobie hula.
Podobnie jest z małolatem
Zaznajomionym z tematem**

**Jak i co ma sobie sprawiać,
By bezpieczny seks uprawiać
Jako kobiety lub faceci
Czy też jakiś rodzaj trzeci.**

**A może jeszcze dalsze jakie
Bo płcie wybierać możesz takie
Jakie ci głupi łeb dyktuje
Lub jeszcze głupszy podszeptuje.**

**Miłość i wzajemność szczerą
To dziś już tylko działka mohera.
Została już tylko przygoda
Bo jakoby decyduje przyroda.**

**A więc miast kochać i szanować
Wystarczy na chwilę wynajmować
Chatę lub starych za próg
wystawiać
I bezpieczny seks uprawiać.**

**Uprawiać, jakże właściwe słowo
Na operację czysto zmysłową.**

**Do czasu może gra to wszystko
Ale z za węgla czai się ptaszysko
Nudy, a w jej ślad męczy pytanie:
A co, kiedy seks bawić przestanie?**

Seks

**Dziś jedno słowo jest kluczowe,
Na określenie tego, co nowe.
Słowo to kończy się na x lub eks
Wymawia się wszakże jako seks.**

**On włada dziś ludzką istotą
Mędrce, celebrytą i idiotą.
On decyduje co modne i OK.
On wypełnia myśli jego i jej.**

**Bez niego jesteś moherem.
Człowiekiem bez ikry, zerem.
Bo musisz wreszcie decydować
W jakiej płci chcesz funkcjonować.**

**A zatem jak seks chcesz uprawiać.
O seksie marzyć i rozmawiać.
Seksownym filmem się delektować,**

*Wszelkie listy prosimy kierować na adres
redakcji: redakcja@atopolskawlasnie.com*

Printed and Copyrighted by Polonia Semper Fidelis